ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 10(35) • Październik 2008 • Cena 2,00 zł

ISSN 1897-4023

Szybciej od dźwięku

Gdy pod koniec lat sześćdziesiątych, siedząc w ławce na lekcji języka rosyjskiego usłyszał nagle pytanie: *Kiem ty chaczesz stat?* Bez namysłu odparł: *Ja chaczu stat liotczikam.*

Dzisiaj pracuje w Agencji Żeglugi Powietrznej, która zarządza ruchem w przestrzeni powietrznej naszego kraju i zajmuje się między innymi rozdziałem tej przestrzeni dla różnych użytkowników. Natomiast to, co nas najbardziej zainteresowało: jest majorem lotnictwa w rezerwie. Obecnie nie ma konkretnego przydziału, ale teoretycznie w każdej chwili może zostać powołany do służby. Poza tym jest emerytowanym żołnierzem zawodowym od 1998 roku, czyli dosyć młodo uzyskał uprawnienia emerytalne. Był taki czas, że rok pracy pilota samolotów naddźwiękowych zaliczany był jako dwa lata normalnej służby…

Echo Złotoryi: Skąd pomysł, aby zostać pilotem samolotów naddźwiękowych?

Włodzimierz Kałkus: Zaraz po ukończeniu złotoryjskiego ogólniaka poszedłem na Politechnikę do Wrocławia. Po pół roku jednak zdecydowałem się na studia w Dęblinie. Kilku moich kolegów już tam studiowało, między innymi kolega z klasy - Mirek Stopa, co tym bardziej mnie utwierdziło w tej decyzji. Poza tym lotnikiem był pan Białas, swego czasu legenda w Złotoryi. Egzaminy musiałem zdawać od nowa. Natomiast przydała mi się wiedza zdobyta na Politechnice – zwłaszcza matematyka. W 1977 roku wstąpiłem do wojska. Studia trwały cztery lata.

E.Z.: Trudno było się dostać do Dęblina?

W.K.: Najtrudniejszy był egzamin z wuefu, ale wcześniej były badania lekarskie i tam najwięcej osób odpadło. Z grupy, w której byłem, na 93 kandydatów poddanych badaniom, zostało nas pięciu – w tym trzech, którzy poszli na kierunek polityczny. Czyli do latania zostało nas dwóch. Na roku w sumie w jednej kompanii było około setki studentów. W tej liczbie byli przyszli piloci różnych typów samolotów a także śmigłowców. To mniej więcej pokazuje, ilu było chętnych do tej szkoły.

E.Z.: To były ciekawe studia?

W.K.: Pierwszy rok był typowo teoretyczny, dopiero później zaczęło się latanie i to było najciekawsze w tej szkole.

E.Z.: Piloci kształcą się tylko Dęblinie?

W.K.: Wojskowi raczej tak. Po promocji piloci szli do pułków i tam szkolili się i praktykowali dalej pod okiem doświadczonych instruktorów. Obecnie armia liczy około 150 tys. żołnierzy, a kiedyś było ich 3 czy nawet cztery razy więcej. Zlikwidowano wiele pułków lotniczych. W tej chwili nie ma już pułków tylko eskadry, ale tak samo liczebne, jednak tych jednostek jest dużo mniej. Między innymi zlikwidowano moją pierwszą bojową jednostkę w Goleniowie.

E.Z.: Kosztem redukcji ilościowej odbył się awans jakościowy?

W.K.: Awans jakościowy jest, to widać. Chociażby na przykładzie samolotów F16. Osobiście nie dane mi było na nim latać, ale wiem, że jest to samolot bardzo skomplikowany. A właściwie to jest system a nie samolot. To, że on lata, jest w sumie tylko takim dodatkiem tego systemu. Ten samolot współpracuje z AWACS – em(*), może mieć zobrazowanie z radarów zewnętrznych. Może bezpośrednio współdziałać i z okrętami i z siłami lądowymi. To jest zupełnie inna kategoria sprzętu.

E.Z.: Ma jakieś szczególne wymagania co do pogody, lotniska?

W.K.: Teoretycznie wymagania ma podobne jak MIG21 chociaż nie znam jego minimalnych warunków pogodowych. Na pewno wymaga czyściejszych pasów i dróg kołowania i nie wszędzie wyląduje.

E.Z.: Na autostradzie nie wyląduje?

W.K.: Oczywiście mówimy o tak zwanych drogowych odcinkach lotniskowych, które przygotowuje się specjalnie do tego, aby lądowały na nich samoloty. Wyląduje, ale – jeżeli będzie to lądowanie nieplanowane, nie wzniesie się już z powrotem w powietrze. Z F16, a w sumie z każdym bojowym samolotem jest tak, że jak już wyląduje na takim awaryjnym lotnisku, to tak, jakby go zestrzelili, ponieważ nie odtworzy gotowości bojowej i nie wzniesie się z powrotem. Nikt tam nie podwiesi uzbrojenia, nie ustawi platform nawigacyjnych, nie wgra planu lotu. Osobiście lądowałem w czasie ćwiczeń na autostradzie, ale żeby takie lotnisko było w pełni funkcjonalne, musi tam przybyć pełna infrastruktura do obsługi samolotu. Także lądowanie F16 np.na Okęciu nie ma najmniejszego sensu, bo nikt tam tego samolotu nie obsłuży. Ale, żeby wszystko było jasne, dotyczy to również innych typów samolotów bojowych.

E.Z.: Czyli w tej chwili samoloty są aż tak bardzo czułe…

W.K.: Starsze typy samolotów także były wrażliwe na to. Nawet za moich czasów, gdy latałem na podstawowym samolocie, jakim był MIG 21, było to samo. On też musiał mieć miejsce, gdzie można było go obsłużyć. Przede wszystkim - paliwo musiało być odpowiednie. Urządzenia, które służyły do odtworzenia gotowości, do podwieszania uzbrojenia, też musiały być określonego typu. Nie można tego przenieść na plecach, to przede wszystkim bardzo dużo waży – setki kilogramów.

E.Z.: Porównując maszyny starszego typu i te współczesne, na których łatwiej jest latać?

W.K.: Na pewno na współczesnych. Samoloty najnowszych generacji mają cały szereg ułatwień. Nie latałem na F16, ale z tego co wiem, jest wyposażony w takie urządzenia, że jest przyjazny pilotowi. Pierwsza rzecz to jest tzw. *head up*, czyli wyświetlacz, który wszystkie parametry pokazuje na przedniej szybie, albo na celowniku z przodu. Pilot nie musi patrzeć, tak jak ja, latając na Migu 21 do kabiny, żeby obejrzeć wszystkie przyrządy. Teraz pilot może patrzeć jednocześnie „*za okno*" i widzieć wszystkie parametry lotu. Druga rzecz – nie odrywa rąk od sterownic. Często jest to joystick – pilot teraz nie steruje samolotem, a komputerem. Poza tym komputer nie pozwoli pilotowi „przeciągnąć" samolotu, czyli mówiąc krótko, spowodować taką stratę siły nośnej, która uniemożliwia dalszy lot. Komputer ma chronić pilota.

E.Z.: Czy to tak jak z samochodem, jeżeli umie się polecieć jednym samolotem, to można wsiąść do każdego innego i polecieć?

W.K.: Na pewno nie. Posługując się terminem „cywilnym" na każdy typ trzeba się „wylaszować". Jest taki samolot, bardzo trudny do pilotażu: AN-2, jest to dwupłatowiec z lat czterdziestych, prawdopodobnie mają go w Jeżowie, doskonały do szkolenia skoczków spadochronowych, ponieważ ma małą prędkość i duże drzwi. Ma dużą powierzchnię nośną i jest bardzo czuły na wiatr. Nawet na ziemi trzeba go chować do hangaru, lub zakotwiczyć, aby mocniejszy wiatr go nie porwał. Nie ma wspomagania, wszystko jest na cięgłach, czyli sterowanie odbywa się bezpośrednio siłą mięśni.

E.Z.: Pana pierwszy samolot?

W.K.: Zacząłem latać na ZINie 42 w Aeroklubie w Łodzi na Lublinku. Aeroklub ten niejako na zlecenie uczelni w Dęblinie prowadził szkolenie dla kandydatów na przyszłych pilotów. Później na studiach była to Iskra TS-11, następnie LIM 5 – znany z wojny w Korei i w Wietnamie, i wreszcie, gdy trafiłem do pułku bojowego – MIG 21. W eskadrze doświadczalnej doszedł jeszcze Orlik oraz AN-2, stąd wiem, że jest trudny do pilotowania.

E.Z.: Eskadra doświadczalna? To brzmi bardzo zagadkowo.

W.K.: Eskadra doświadczalna to była taka eskadra, gdzie dokonywano prób zarówno sprzętu, który był później eksploatowany w jednostkach wojskowych jak i do innych zadań zupełnie nietypowych dla „zwykłego" lotnictwa wojskowego: odpalanie celów powietrznych dla rakiet przeciwlotniczych czy loty badawcze górnych warstw atmosfery. Po prostu po głównych remontach, wymianie podstawowych podzespołów, jak chociażby silnika, po złożeniu z powrotem samolotu, trzeba było go sprawdzić – oblatać. Nie można dać takiego samolotu od razu do eksploatacji czy do szkolenia.

E.Z.: Było to niebezpieczne?

W.K.: Tak. To było niebezpieczne.

E.Z.: Zdarzały się wypadki?

W.K.: W czasie gdy służyłem, zginęło sześciu pilotów. Dwóch w Indiach, gdzie całe szkolnictwo lotnicze odbywa się na Iskrach, dwóch w Dęblinie oraz dwóch niedaleko Modlina – wszyscy w lotach doświadczalnych.

E.Z.: Ile w takim locie zależy od człowieka?

W.K.: Wszystko zależy od człowieka. Nawet, gdy jest niesprawny sprzęt, też zawinił człowiek, który go składał.

E.Z.: Ale konkretnie - od pilota?

W.K.: Nie można tak tego rozpatrywać, ponieważ to jest cały system. Na jeden lot składa się wiele czynników. Dam taki przykład: żeby wykonać w jednostce wojskowej jeden lot, musi wyjechać z parku technicznego i pojechać na lotnisko kilkadziesiąt samochodów. Już nie mówię, ilu ludzi musi być w to zaangażowanych. Czy to jest dziesięć lotów czy jeden – procedura jest tak samo złożona. Trzeba zapewnić obsługę meteorologiczną, pozapalać wszystkie potrzebne światła, uruchomić radiostację, zatankować, uzbroić… Pilot jest tylko czubkiem góry lodowej.

E.Z.: Jednak można chyba stwierdzić, że w danym przypadku to na przykład pilot popełnił błąd?

W.K.: Oczywiście. Niedawno w Internecie został opublikowany przez ministra Klicha raport dotyczący katastrofy Casy. Tam jest ewidentnie powiedziane, kto zawinił. Odsyłam do lektury tego dokumentu.

E.Z.: Dlaczego Pan poszedł do eskadry doświadczalnej?

W.K.: Bo tam było miejsce.

E.Z.: Tylko dlatego? Nie było zapotrzebowania z Pana strony na większą dawkę adrenaliny?

W.K.: No nie. Miałem kolegę, który zachwalał to miejsce. Nawiasem mówiąc, zginął później w katastrofie w Dęblinie. Mówił mi: Będziesz robił to samo co w pułku, ale będziesz brał większe pieniądze. Przeniosłem się więc służbowo z Goleniowa do Modlina. Żona z tego wyboru nie była zadowolona, ponieważ była dosyć związana z Goleniowem i zawsze niechętna moim wyjazdom, nawet służbowym. Tam służyłem do końca swojej służby wojskowej od 1993 do 1998 roku. Może bym i służył do dzisiaj, ale eskadrę też rozwiązano.

E.Z.: Zastanawia mnie, jak Pan mógł dalej latać, gdy kolejni koledzy ginęli w wypadkach.

W.K.: Byliśmy pod stałą opieką lekarską WIMLu, czyli Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej i jeżeli ktoś by zgłosił, czy dowódcy, czy lekarzom jakieś problemy tego typu, że nie może się otrząsnąć, bo kolega odszedł – to nikt mu by nic nie zrobił, po prostu nie latałby więcej, robiłby coś innego. Na przykład byłby dyżurnym kierownikiem lotów na wieży, czy przekwalifikowałby się na nawigatora, albo meteorologa.

E.Z.: Ale to się tak łatwo mówi, jednak dla kogoś, kto żył lataniem, przyznanie się do tego, że ma się problemy, mogło być dosyć trudne.

W.K.: Ale to się działo. Proszę sobie wyobrazić, że chce się chodzić w cyrku po wysoko zawieszonej linie, gdzieś tam pod kopułą, ale gdy się już tam stanie, okaże się, że nie da się rady, to co? To trzeba zejść na dół. Robić coś innego.

E.Z.: Tak mówi ktoś, kto myśli zdroworozsądkowo, ale ludzie często próbują coś udowodnić sobie czy innym.

W.K.: Po to jest komisja lekarska, by tych, którzy są za bardzo pasjonatami, a nie rokują, że będzie to szło w parze ze zdrowym rozsądkiem, pozostawić na ziemi. Bardzo się wszystkim podoba lot koszący – to jest lot na samolocie naddźwiękowym poniżej dwustu metrów nad powierzchnią terenu. Jeszcze lepiej, gdy jest to sto albo pięćdziesiąt metrów. Wszystkim się wydaje, że to jest coś wspaniałego, wszystko miga jak podkłady kolejowe w kiblu w ekspresie… Nam instruktor powiedział: Proszę bardzo, masz zadanie lecieć na wysokości 100 metrów po całej trasie, gdzie odcinki są 70 km, 120 km, 80 km - taki trójkąt – i masz się nie podnieść wyżej i masz się nie zgubić. To jest zadanie, a nie latać gdzieś i przestawiać komuś chałupy albo kury straszyć. Dlatego jest WIML i instruktorzy, aby takich, co chcą tylko kury straszyć, eliminować.

E.Z.: Czyli decydujący głos ma psycholog.

W.K.: Oczywiście. Niedługo możemy nie mieć pilotów na F16, ponieważ wymagania stawiane przed kandydatami są bardzo wyśrubowane, co w połączeniu z odchodzeniem ze służby z uwagi na niskie zarobki, stwarza realną groźbę, ze wkrótce zabraknie pilotów, zwłaszcza do maszyn tych najbardziej zaawansowanych.

E.Z.: Jak często zdarzają sytuacje stresowe w czasie lotu?

W.K.: Właściwie to cały czas wykonywało się to wszystko na jakimś poziomie stresu. Jeżeli człowiek przestaje się bać, to już jest źle. Na pewno wielkim przeżyciem był pierwszy samodzielny wylot. Kiedy nie ma obok instruktora i człowiek musi polegać na własnych umiejętnościach i wiedzy.

E.Z.: Po ukończeniu uczelni pilot jest już wystarczająco wyedukowany, aby sam latać?

W.K.: Teoretycznie po ukończeniu szkoły pilot przychodzi do jednostki z klasą III. Aby móc pełnić samodzielny dyżur bojowy, latać w nocy w chmurach, trzeba mieć klasę co najmniej I albo mistrzowską. To trwa co najmniej kilka lat – jak dobrze idzie: jak człowiek nie choruje, jak instruktorzy nie chorują, jak są sprzyjające warunki. Trzeba odbyć program szkolenia, a to wiąże się z określoną ilością godzin latania, a także zdania egzaminów teoretycznych. Jeżeli ktoś w ciągu roku wylatał 100 godzin, był to dobry wynik. Przeciętny lot trwał 25 - 30 - 40 minut, to można sobie policzyć, ile tych lotów musiało się odbyć. Tu widać różnicę między samolotami naddźwiękowymi i tymi wolniejszymi. Jeżeli ktoś na samolocie AN-2 wystartuje z Goleniowa i leci do Dęblina, taki lot trwa kilka godzin. Na takim samolocie znacznie szybciej można wylatać wiele godzin. Natomiast samolot naddźwiękowy w ciągu niespełna półgodziny podrywa się do lotu, wykonuje zadanie i ląduje.

E.Z.: Uzupełnieniem takiego szkolenia były loty na symulatorach?

W.K.: Za moich czasów symulator w niczym nie przypominał prawdziwego samolotu. Niczego w sumie nie uczył. Dopiero w tej chwili symulatory mogą spełniać prawdziwe funkcje szkoleniowe. Swego czasu brałem udział w pracach nad symulatorem Iskry. I dopiero to miało ręce i nogi. Po pierwsze: była autentyczna kabina samolotu, a nie tylko trochę podobna. Poza tym: zobrazowanie na ekranach dosyć wiernie odtwarzało obraz widziany z kabiny i można było symulować różne warunki lotu.

E.Z.: Jak ważne jest u pilota nabycie automatyzmu w wykonywaniu czynności podczas lotu?

W.K.: Ważne jest, to co teraz się nazywa *checklistą*, czyli sprawdzenie przed lotem wszystkiego po kolei. No i ważne jest to w sytuacjach, które za moich czasów nazywano: przypadkami szczególnymi, gdy działa się w deficycie czasu i trzeba od razu reagować np. na zapalenie się jakiejś lampki, albo na określone objawy i wiadomo, że w tej sytuacji należy po kolei robić to i to. Były systemy, zwłaszcza na tych nowszych samolotach radzieckich, że tzw. Natasza powtarzała czynności, które należy wykonać w określonej sytuacji.

E.Z.: Często zdarzają się sytuacje awaryjne?

W.K.: Mnie się nie zdarzyły. Ale kolegom i owszem. Kiedyś dwóch kolegów zderzyło się w powietrzu w nocy i obydwaj wylądowali. Jak później oglądaliśmy te samoloty na lotnisku, to były elegancko pokieresowane. Komisja nie mogła później dopasować modeli, jak przebiegała geometria zderzenia

E.Z.: Jak najwyżej pan wzniósł się ze swoim samolotem?

W.K.: Pułap pierwszego Miga, na którym latałem , to był taki prostszy, a zarazem lżejszy model, wynosił ponad 20 000 metrów. Z tej wysokości widać już krzywiznę Ziemi i tam już samolot nie ma czego się trzymać – nie ma powietrza o takiej gęstości, aby wytworzyć wystarczającą siłę nośną.

E.Z.: A rekordowa prędkość?

W.K.: Taka, jaką można było rozwinąć, czyli 2,05 Macha czyli 2,05 prędkości dźwięku. Ktoś tam, kiedyś źle przeczytał i próbował 2,5 Macha i dziwił się, że coś mu nie idzie. Miał dużo szczęścia, bo samolot mógł się rozpaść. Przy tych prędkościach działają potężne siły.

E.Z.: Jakie jest wrażenie przy przekraczaniu bariery dźwięku.

W.K.: Pilot nic nie słyszy. Widać tylko to na przyrządach: machomierz przeskakuje na powyżej jeden i pozostałe podstawowe przyrządy takie jak wariometr, wysokościomierz, robią taką woltę – w pewnym momencie głupieją, pokazują różne wskazania, wskazówki zaczynają się wahać w różne strony, za chwilę jednak wracają do normy – i tylko po tym można poznać, że przekroczyło się barierę dźwięku.

E.Z.: Lotnicy są elitą wśród wojsk?

W.K.: Może opowiem anegdotę: Po „Pustynnej burzy" gen. Schwarzkopf zwołał wszystkich swoich dowódców, aby ustalić, który rodzaj sił zbrojnych jest najważniejszy. Dowódcy zaczęli się kłócić, ponieważ każdy uważał, że to jego formacja jest najważniejsza. Wojska lądowe uważały, że teren jest zajęty, gdy postawiona jest stopa żołnierza, a nie jak coś tam sobie w górze lata… Generał wreszcie zaproponował: to wyjdźmy przed namiot i spytajmy Najwyższego. Wyszli przed namiot, Najwyższy się zlitował i odpowiedział – na niebie ukazał się wielki napis: Wszystkie siły zbrojne są równorzędne. Podpisano Jezus Chrystus, generał pilot.

Z majorem pilotem Włodzimierzem Kałusem rozmawiali: Anna Chrzanowska i Robert Pawłowski

**) AWACS - Airborne Warning And Control System, system wczesnego wykrywania i naprowadzania („Prz. SP paź. 2004 i http://www.boeing.com/defense-space/infoelect/awacs/)*

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska (sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce: Zamek w Grodźcu - Romuald M. Sołdek.

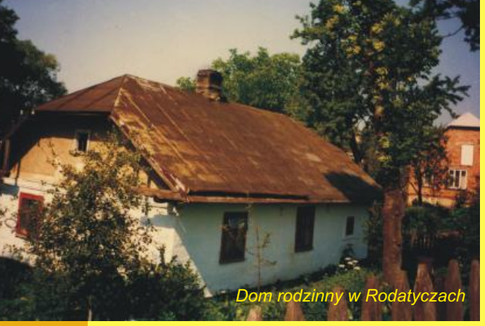

Dom rodzinny w Rodatyczach

Rodatycze

Mieszkaliśmy w Rodotyczach w pobliżu miasteczka o nazwie Gródek Jagiellońsk i, Rodatycze to wioska wielkości Pielgrzymki,ciągnęła się kilka kilometrów. Zamieszkiwali ją Polacy i Ukraińcy. Przed wojną przyjaźniliśmy się z nimi, powstawały mieszane związki,Ukraińcy wżenili się w rodziny polskie, wspólnie chodziliśmy do cerkwi na wieczorną rezurekcję, oni się modlili, my bardziej z ciekawości. Ojciec pracował na kolei, dobrze nam się powodziło, mieliśmy gospodarstwo, jednak w domu było ciasno, była nas siódemka rodzeństwa, mieliśmy tylko dwie izby. Rodzice chcieli się budować. Jednak początek wojny zniweczył plany.Ponieważ było nas dużo, mama miała pomocnika,(był nim mój kuzyn z biedniejszej rodziny) i za pracę otrzymywał pieniądze, jadł i spał u nas. Później założył własną rodzinę i poszedł na swoje. Był analfabetą, na edukację nie miał środków. Wówczas szkolnictwo stało na dobrym poziomie, kogo było stać, ten mógł się uczyć. Podstawówka była siedmioletnia, potem gimnazjum- cztery lata i dwa lata Liceum Ogólnokształcącego zakończone dużą maturą. Szkoły znajdowały się w Gródku Jagiellońskim. Dwuletni ogólniak był we Lwowie, z Rodotycz mieliśmy 22 km do Lwowa. Do szkoły poszłam o rok wcześniej. Kończyłam drugą klasę gimnazjalną, kiedy rozpoczęła się wojna.

Życie kulturalne przed wojną

Życie kulturalne skupiało się wokół kościoła,,istniało stowarzyszenie na wzór koła gospodyń wiejskich - opowiadała mi mama. Ja nie pamiętam, byłam za młoda.

W Gródku Jagiellońskim był zakon. Księża mieli majątek, pomagali ubogim i sierotom, zakonnice prowadziły przytułek, organizowały szkółkę niedzielną (obecnie są tam ruiny i grobowce). Ksiądz organizował wycieczki do Krakowa, Częstochowy, byłam na jednej z mamą.Nie każdy mógł sobie pozwolić na wycieczkę, panie, które udzielały się w życiu kościelnym, jechały w pierwszej kolejności.

Ukraińska nienawiść

Nasza wieś graniczyła z ukraińską, pola łączyły się miedzami, tuż przed wojną zaczęły się kradzieże płodów, niszczenie upraw. Nienawiść się nasiliła. Związek Radziecki napadł na Polskę 17 września 1939 roku z obłudnym tłumaczeniem że wojska rosyjskie chronią ludność ukraińską i białoruską przed Niemcami. Polska ludność mieszkająca wraz z Ukraińcami do tej pory w spokoju i poszanowaniu różnic wiary znalazła się w rękach podwójnego wroga. Niemcy hitlerowskie obiecały Ukraińcom wolność, zezwalając na powstanie państwa Samoistnej Ukrainy, powstały bojówki ukraińskie mordujące swoich sąsiadów Polaków paląc ich dobytek, zmuszając do ucieczki . Rozpoczęły się wywózki na Sybir, mordy w Katyniu, Miednoje i Charkowie. Nas wysiedlono na zachód. Pamiętam, jak wywieziono szwagra i jego syna, ślad po nich zaginął. Szukaliśmy ich w lwowskim więzieniu, bez rezultatu. W dniu ich aresztowania wywieźliśmy wieczorem siostrę do Jarosławia, aby jej nie zabrali.

Nasz kościół zniszczyli Ukraińcy. Pamiętam anegdotę: podczas niszczenia kościoła jeden z Ukraińców rabował blachę ocynkowaną z dachu. Spadł zabijając się na miejscu, wśród barbarzyńców zapanował strach. Było to ostrzeżenie dla każdego, kto podnosił rękę na miejsce kultu. Polacy ratowali kościoły przed grabieżą wynosząc elementy ołtarza,ornaty,obrazy.

Zachód

Przed wywózką z ojcowizny okupant zmuszał nas do ewidencjonowania każdego przedmiotu i żywego inwentarza, rodzina miała przydzielony wagon bydlęcy, i tylko tyle mogła zabrać. Otrzymując kartę ewakuacyjną w 1941 musieliśmy wyjechać, zostawiliśmy dorobek całego życia, ustabilizowaną sytuację rodzinną . Troszcząc się o życie dzieci wybraliśmy poniewierkę i niepewny los na przyszłość. Jeszcze przed wyjazdem musieliśmy oddać deputat zboża, zabrali nam krowy, mówiąc,że są chore. Kto miał konia, mógł przewieźć furmanką dobytek, tak też zrobił nasz ojciec. Osiedliliśmy się w Strzelcach Opolskich.Mieszkaliśmy obok rodzin niemieckich. Zaprzyjaźniłam się z Gretą i Klausem, język nie był dla nas przeszkodą. Nie czuliśmy do nich nienawiści, była to zwykła rodzina mówiąca po niemiecku.Znowu rozpoczęły się wywózki tylko,że oni teraz wyjeżdżali do Niemiec. W Strzelcach Opolskich skończyłam LO, dostałam pracę w Prezydium, Moja siostra wyjechała do Pielgrzymki i zachęciła mnie i brata do przyjazdu. Tu mieszkaliśmy przez jakiś czas. W 1947 roku wyszłam za mąż.

Jerzmanice Zdrój

Osiedliliśmy się w Jerzmanicach Zdroju, przed wojną było tam sanatorium niemieckie – jeszcze dzisiaj pamiętam smak wody zdrojowej, wokół był piękny park. Niemcy pozostawili domy w różnym stanie i z różnym wyposażeniem. W kilku miejscach sterczały ruiny pałacyków.

Dlaczego Jerzmanice Zdrój? Atutem był dworzec kolejowy, pozwalał nam dotrzeć do ważnych miejscowości w okolicy: do Złotoryi, Marciszowa, Legnicy, Chojnowa. Działania wojenne nie zniszczyły miejscowości. Komunikacja była względnie utrzymana, dzieci bez problemu dojeżdżały do szkół legnickich.Wyjeżdżając z Rodatycz myśleliśmy, że jedziemy do eldorado, wierzyliśmy w swej naiwności, że Niemcy to bogate rodziny. Liczyliśmy na zmechanizowane gospodarstwa, jednak rzeczywistość rozczarowała nas. Zaczynaliśmy wszystko od początku. Koń po wojnie był skarbem na wagę złota.

W 1947 roku Jerzmanice Zdrój zamieszkiwali ludzie z Rodatycz i z Tarnopola, Lwowa, na folwarki przyjeżdżali również Polacy z centrali Polski, oni też widzieli dla siebie szansę na lepsze życie. Mój mąż był osadnikiem wojskowym, miał prawo wyboru domu, w którym mieliśmy zamieszkać. Wybrał skromny dom, praktycznie bez większych wygód. Nie zawsze umiał o siebie zadbać. Mąż pomagał Niemcom w wysiedleniach. Mocno był zaangażowany w życie i stabilizację wsi. Mógł zostać wojskowym, ale zbyt dużo na te czasy było przekłamań.

Po wojnie brakowało nauczycieli, proponowano mi nauczanie w szkole podstawowej, miałam tylko zrobić roczny kurs pedagogiczny, ale ja chciałam założyć rodzinę i wychować dzieci. Mąż zaczął uczęszczać do technikum rolniczego w Chojnowie, wybrał weterynarię. Po ukończeniu szkoły dostał od razu pracę, powstawały PGRy. Miał pod opieką obory, kontrolował przyrosty wagowe bydła i wydajność. Zawód miał na czasie, ale i mnóstwo zajęć. Wszystko trzeba było dokumentować, mąż nie lubił pracy papierkowej, więc ja nauczyłam się i zaczęłam prowadzić całą dokumentację. Mieliśmy 7 hektarów pola. Mąż wolał pracę w polu. Ktoś by powiedział, że zajmowałam się tylko wychowywaniem dzieci, ale tak naprawdę byłam sekretarka, księgową, dokumentując pracę męża. Mam zdolną mamę, jeszcze dzisiaj pomaga wnukom w nauce-dodaje córka

Przeszłość i tradycje

W zamian za mienie pozostawione na Ukrainie państwo polskie przydzielało mienie na ziemiach odzyskanych.Grupy osiedleńcze z Rodatycz i okolic przywiozły majątki z rodzinnych wsi np. ksiądz przewiózł część wyposażenia kościoła parafialnego: obraz św Antoniego, komże, naczynia liturgiczne. chociaż nie od razu mieliśmy wszystko skompletowane. Parafia była rozrzucona tak jak ludzie, obraz trafił do Pielgrzymki, potem sąsiadka przywiozła go do Jerzmanic Zdroju. Obraz dość długo wisiał w kościele. Tradycyjnie, tak jak w Rodatyczach, obchodziliśmy dzień św. Antoniego.

Polacy przywieźli swój kawałek Rodatycz na te ziemie, to pozwoliło im nie czuć się wyobcowanymi. Zauważyłam, że ludzie trzymali się razem -ze Lwowa, z Gródka, z Rodatycz.Znali się bardzo dobrze i ufali sobie, a to było w tamtych czasach bardzo ważne. Z Jerzmanic Zdroju wywodzi się wielu mądrych ludzi, lekarzy, prawników, ekonomistów. Umieli znaleźć się w nowej rzeczywistości.

Dalsze dzieje rodziny...

Rodzice osiedlili się bliżej dzieci, w Pielgrzymce. Mama zmarła mając 94 lata, będąc do końca sprawną. W tak późnym wieku potrafiła rozróżniać każdego wnuka, miała dobrą pamięć. Siostra była krawcową-samoukiem. Miała niesamowitą wyobraźnię i zdolności krawieckie. Druga siostra skończyła studia, trzecia, technikum w Legnicy.

Jedna z moich sióstr założyła koło gospodyń w Pielgrzymce, tam pielęgnowano tradycje wyniesione z domu rodzinnego. Założony zespół ludowy śpiewająco szerzył kulturę zza Buga.

Wycieczka do Lwowa

Obecnie czwarte pokolenie zamieszkuje ziemie „odzyskane". Młodzi wyjeżdżają za Bug w nasze rodzinne strony, chcąc poznawać nasze korzenie. Niewiele zostało „naszego", są tam ugory, ziemia leży odłogiem, mało jest już dawnych zabudowań a wiele nowych.

Mąż podczas wycieczki spotkał swoją znajomą, która opowiedziała o dalszych losach mieszkańców z Malinówki, gdzie mieszkał przed wojną. Nie każdemu się powiodło.

Cóż, wspomnienia są bardzo ważne, często miłe, niekiedy przykre.

Wspomnień F.T. mieszkanki Jerzmanic Zdroju wysłuchała Jana Kałuża

sKOSZTuj szkoły

Jedzenie to bardzo ważny aspekt w życiu każdego ucznia. Zapewnia nie tylko komfort, jakim jest brak głodu, ale pozwala na chwilę rozkoszy. Wiadomym jest, że jedzenie dostarcza przyjemności, co wiąże się z zadowoleniem i chęcią do pracy. To takie paliwo, które napędza nas, a także nasz mózg do większej wydajności.

W szkole, miejscu idealnym, by chłonąc wiedzę garściami, spożywamy różne smakołyki. Pozwalają na to przerwy, które uczniowie rezerwują na posiłek. Co jest pożądanym produktem? Co kusi podniebienia? Co sprawia, że jedzenie przeradza się w przyjemność?

Zdania są podzielone, a na ich różnorodność wypływają rozmaite aspekty.

Możliwości zaopatrzenia się w żywność dostarcza sklepik szkolny, który obecnie funkcjonuje w każdej szkole. Działa od samego rana, a to dobre rozwiązanie dla tych, którzy w porannym pośpiechu nie zdążyli zjeść śniadania w domu. Oczywiście ceny są nieco wyższe niż w przeciętnym sklepie (ok. 30-40gr). Jaką ofertą dysponuje przeciętny sklepik? Na pewno największą popularnością cieszą się bułki. Świeże, pachnące pieczywo motywuje do stania w długiej kolejce. Pośród wypieków hitem są pizzerki, niekiedy podgrzewane przez uprzejmą ekspedientkę w mikrofali, smakują wtedy jeszcze lepiej. Przekąska? Bardzo proszę. Na półkach chipsy i chrupki – od wyboru do koloru. Obok nich opcja na słodko - batoniki i wafelki. Wielbiciele cukru odnajdują rozwiązanie w cukierkach i lizakach, które podobno rozpływają się w ustach. Dla spragnionych: napoje, soki, wody. W cieplejsze dni schłodzone w lodówce, gdzie dostrzegam także jogurty oraz, od czasu do czasu, owoce.

Wszystko to, co oferują nam, uczniom, sklepiki szkolne, potocznie nazywane jest niestety niezdrową żywnością. Posiłki, nie dość, że nafaszerowane konserwantami i innymi chemicznymi dodatkami, są jeszcze zwykle bardzo kaloryczne. Kto ma wpływ na dobór asortymentu? My sami, bo przecież sklepik nastawiony jest na zysk. Doszukując się prawdy, zapytałam koleżankę, co sądzi o zapasach w sklepiku złotoryjskiego LO. Dziewczyna wyraźnie podkreśliła, że liczy na zmiany. *Chciałabym, żeby któregoś pięknego dnia na półce można było dostrzec sałatki warzywne lub owocowe. Chipsy to puste kalorie, które na pewno nie pomagają w utrzymaniu linii nam, kobietom* - mówi z żalem. *Licealista, dorosły albo prawie dorosły człowiek powinien sam decydować, co jest dla niego dobre. Przecież nie jesteśmy małymi dziećmi i zdajemy sobie sprawę ze szkodliwości niektórych produktów* – dodaje. Całkowicie się z tym zgadzam. Owszem, takiego typu przekąski mają skróconą datę spożycia, ale biorąc pod uwagę dosyć duże zainteresowanie, sklepikarze nie mieliby problemu ze zbytem. Czy to w gimnazjum czy liceum młodzież jest skłonna kupować te same, chwytliwe towary.

Co dzieje się w szkołach podstawowych? Jest jeszcze gorzej. Oprócz standardowych zapychaczy potencjalny nabywca może wybierać spośród różnobarwnych słodyczy. Żelki, cukierki, batoniki – w każdym wariancie. Dzieci lubią, kiedy oprócz smaku mogą nacieszyć oko. Lizak na patyku w formie lalki Barbie, samochód jako czekoladka – hity wśród… niestety samych niezdrowych produktów. Nie dostrzegam nic, co mogłabym zakwalifikować choć w małym stopniu do zdrowych produktów. Czy właściwym jest propagowanie takiego rodzaju produktów przez szkołę, bo przecież to „sklepik szkolny"? Prawdopodobnie nikt nie ma na to wpływu poza tymi, którzy sklepik prowadzą. A dzieci… kupują. Na pewno lepszym rozwiązaniem byłoby tradycyjne konsumowanie śniadania zrobionego w domu przez rodziców. Pociecha mogłaby dostać prowiant bogaty w witaminy. Jednak nie oszukujmy się, dziecko nęci to, co kolorowe, tuczące…

Podobno czekolada to taki cudowny wynalazek, który poprawia nastrój, powoduje uczucie zadowolenia, rozjaśnia umysł i zwiększa przepływ energii. Zawiera magnez oraz cynk i selen, które zwiększają wydzielanie endorfin tzw. hormonów szczęścia. Cóż więc prostszego – jedzmy cudo w aksamitnym wydaniu – dostępne w opcji do jedzenia i do picia… w automacie z ciepłymi napojami. Czekolada na gorąco (do wyboru z mlekiem lub bez)

to jeden z wielu dostępnych wariantów. Godne polecenia espresso, kawa z mlekiem, herbata, a nawet barszczyk – dla każdego za symboliczną złotówkę. Dodatkowym udogodnieniem jest możliwość wybrania ilości cukru.

Koło licealnego automatu, podobnie jak w pomieszczeniu sklepikowym, jest miejsce, gdzie można usiąść, spokojnie wypić gorący napój i… zjeść śniadanie własnego wyrobu. Zwolennicy kanapeczek, czy bułeczek w zaciszu domowym pieczołowicie szykują drugie śniadanie.

Uczeń, albo… troskliwy rodzic, wie, jak zadbać o to, by zaspokoić głód. Z autopsji oraz na podstawie obserwacji wiem, że standardem jest kanapka co najmniej dwuskładnikowa. Jak to rozumieć? Pieczywo uprzednio posmarowane masłem zawiera więcej niż jeden dodatek, w sloganie szkolnym tzw. „superkromka". Kiedy drugie śniadanie nie wystarcza, a na zegarze wybija dwunasta, można skorzystać z kolejnej kuszącej propozycji: obiadu na stołówce. Uiszczając uprzednio opłatę w wysokości ok. 4.00 zł mamy szansę na smaczny, domowy posiłek składający się z dwóch dań. Panie kucharki układają apetyczne menu z kilkudniowym wyprzedzeniem, co ułatwia sprawę wybrednym.

Jakikolwiek posiłek w szkole to podstawa do prawidłowego funkcjonowania organizmu. Doskwierający głód nie pomaga w nauce, a przecież ta jest celem każdego ucznia. Są gusta i guściki, ale jeśli chodzi o doznania smakowe, szkoła zapewnia dużo możliwości. Jedni wolą na słodko, inni na słono, ale każdy może zaspokoić swoje spragnione podniebienie pyszną przekąską.

Zainspirowana drugim śniadaniem mówię: *Należy jednak zachować umiar i pamiętać, że co za dużo, to nie zdrowo!*

Smacznego.

Martyna Borysionek

Regulamin Konkursu

Złotoryjanie

1. Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.
2. Patronat honorowy nad konkursem objęli Burmistrz Miasta Złotoryi oraz Wójt Gminy Złotoryja.
3. Konkurs przeznaczony jest dla uczniów szkół podstawowych, gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych oraz osób dorosłych z miasta Złotoryi oraz miejscowości Gminy Złotoryja. Eliminacje oraz finały odbywać się będą w powyższych pionach.

Tematyka konkursu obejmuje znajomość faktów związanych z wybitnymi oraz bardziej znanymi postaciami zamieszkującymi powyższy teren w przeszłości i obecnie a także z tymi osobistościami, które tutaj nie zamieszkiwały ale swoimi decyzjami wpłynęły na historię tego obszaru (np. książę Henryk Brodaty, św. Jadwiga, inni władcy, dowódcy). Pytania dotyczyć będą najważniejszych faktów z ich życia, sprawowanych funkcji, zasług oraz śladów ich działalności, np. zabytków oraz nazw z nimi związanych.

4. Konkurs składa się z następujących etapów:

v Etap I – pisemne eliminacje: 14 listopada 2008 r. o godz. 13.30 w macierzystych szkołach(20 pytań). Troje najlepszych uczniów z każdej szkoły podstawowej oraz po czworo z gimnazjów i szkół ponadpodstawowych kwalifikuje się do finału. W razie jednakowej ilości punktów szkoły przygotowują dogrywkę we własnym zakresie. Pisemne eliminacje z udziałem osób dorosłych odbędą się w siedzibie TMZZ 14 listopada o godz.17.00 – do finału kwalifikuje się 10 osób.

v Etap II – finał pisemny: 5 grudnia 2008 r. o godz. 12.45 w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, ul. Szkolna 1: szkoły podstawowe - godz. 9.00, gimnazja godz. - 11.00, szkoły ponadgimnazjalne – godz. 13.00, dorośli, godz. 17.00) – 25 pytań. Nagrody i dyplomy zostaną wręczone laureatom w dniu finału lub podczas uroczystości szkolnych.

5. Zgłoszenia udziału w konkursie(dla szkół wg załączonego wzoru) prosimy dostarczyć na adres TMZZ do dnia 10 listopada b.r. Karta zgłoszenia dostępna jest na stronie internetowej www.tmzz.zlotoryja.pl. Pytania w sprawach związanych z konkursem prosimy kierować do Romana Gorzkowskiego – LO Złotoryja tel. 076-878 33 44 lub 076-878 46 72, 0661743992. Szczegółowe informacje dostępne sa na stronie internetowej tmzz.zlotoryja.pl

Na przekór wszystkiemu

Utalentowana, pełna wdzięku, uśmiechnięta nawet wtedy, gdy nadchodzą trudne dni. Wielka optymistka, ale także stanowcza - jak mało kto. Czy właśnie dzięki takiej postawie lekarz rodzinny **Barbara Kołodziej** świetnie sobie radzi? Widocznie tak. Nie boi się wyzwań, a wręcz przeciwnie, gdy tylko ma jakiś cel, bez względu na przeszkody w pełni go realizuje. Jest wspaniałym lekarzem, ale również matką, żoną. Kobieta sukcesu pod każdym względem wybrała zawód, który wymaga wielu poświęceń i wyrzeczeń, ale wie, że może sobie pozwolić na wsparcie pracowników, którzy stają za nią murem w trudnych chwilach. Wobec tego na myśl nasuwa się prosty wniosek, że mało jest ludzi, którzy tak jak ona swoje marzenia, ambicje zawodowe przekształcają w czyny. Wydaje się, że pani doktor Kołodziej jest lekarzem, ale również człowiekiem na medal - ciekawi nas, czy ona również tak uważa?

Echo: Kiedy zrodziła się u Pani myśl, by pomagać ludziom

Barbara Kołodziej: Chciałam zostać lekarzem od dziecka. W klasie piątej bądź szóstej trzeba było napisać wypracowanie na języku polskim „Kim chciałbyś być w przyszłości?" Byłam bardzo pilną uczennicą, jednak nie pamiętam, z jakiego powodu nie napisałam tej pracy. Nauczycielka wywołała mnie do odpowiedzi i zaczęłam kręcić, dukać, zmyśliłam, że w przyszłości zostanę nauczycielką (śmiech). Później poszłam do liceum biologiczno-chemicznego w Chojnowie; już wtedy wiedziałam, że zostanę lekarzem. Byłam w bardzo ambitnej klasie, z której cztery osoby zdawały i dostały się na medycynę.

Echo: Jak wspomina Pani lata studenckie?

B.K: Lata studenckie - koniec 1997r. były to czasy niespokojne politycznie np. strajki na Wybrzeżu. Wówczas nie było takiego życia kulturalnego jak dziś, mało zabaw, a jedyne, jakie się odbywały, to w Pałacyku przy ul. Kościuszki. Było wówczas dużo nauki, a ja nie miałam takich potrzeb, żeby chodzić na jakieś imprezki. Czasami bywałam w Teatrze Współczesnym oraz na zabawach w akademikach i na stancjach, ale - rzadko.

Echo: Należała pani do jakiejś organizacji charytatywnej, pomagającej ludziom?

B.K: W szkole podstawowej byłam zuchem a w liceum harcerką i zastępcą drużynowego. W III kl. liceum zostałam nawet komendantem szczepu. Bardzo podobały mi się mundurki harcerskie.

Echo: Wiemy, że ma Pani dwójkę dorosłych dzieci, czy łatwo pogodzić pracę z domem?

B.K.: Trudno. Nie da się pogodzić pracy z domem, albo jest praca na full a w domu bez obiadków, albo na odwrót. Ktoś musi w domu przejąć obowiązki. Teraz dzieci są już dorosłe i zajmują się mną. Są troskliwe, codziennie dzwonią i mówią „mamusiu czekamy na Ciebie z kolacją". Moja praca to nie siedem godzin przy biurku. Muszę oduczyć się myślenia ciągle o życiu pacjentów, ponieważ powinnam żyć dla siebie, a nie tylko dla nich. Jednak cały czas jestem przy komórce i nawet kiedy z rodziną jemy wspólny posiłek, dzwoni telefon, a dzieci mówią – „no tak znowu ktoś jest ważniejszy

od rodziny".

Echo: A jak radziła sobie Pani, gdy dzieci były małe?

B.K: Pomagałam mi mama.

Echo: Jaki przypadek w swojej karierze zawodowej uznałaby Pani za najtrudniejszy?

B.K: Najtrudniejszy? Poczucie bezradności, bezmyślność matki. Kilkanaście lat temu przyszła do mnie kobieta z trzyletnią dziewczynką, która miała zawroty głowy. Kazałam jej udać się do neurologa, ponieważ ja nie mam specjalistyczności w tej dziedzinie i nie miałam odpowiedniego sprzętu do badań. Jednak matka ciągle czekała i przychodziła do mnie, a ja powtarzałam jej, że musi zrobić specjalistyczne badania w przychodni neurologicznej. Kobieta nie posłuchała a z córką było coraz gorzej. Prawdopodobnie została przetransportowana do Centrum Zdrowia Dziecka do Warszawy. Dziewczynka została częściowo sparaliżowana. Teraz wiem, że mogłam zmusić kobietę, żeby udała się do tej przychodni, może nawet siłą przy pomocy policji. Z biegiem lat ta sytuacja mnie irytuje, że nie czułam się wystarczająco silna. Byli to bezmyślni, ubodzy ludzie, może to wszystko wynikało z biedy?

Echo: Od kiedy pracuje Pani w Zagrodnie, mierzyła się już z wieloma problemami. Stała się poważną konkurencją dla Gminnego Ośrodka Zdrowia w Zagrodnie. Po wygaśnięciu umowy na wynajem i zmianie wójta została Pani postawiona w trudnej sytuacji. Nie poddała się jednak. Co dodawało Pani sił?

B.K: Chciałam robić to, co lubię. Chciałam mieć swoje zdanie i robić to, co chcę, a nie to, co dyktuje mi wójt.

Echo: Wybudowała Pani przepiękny ośrodek zdrowia. Na czyją pomoc mogła Pani liczyć w wykonaniu tego trudnego przedsięwzięcia w tak krótkim czasie?

B.K.: Budowałam ośrodek 5 miesięcy. Budowa była ekspresowa. Dużo było na mojej głowie. Czasami musiałam zostawić pacjentów, żeby jechać po brakujące materiały. Bywało, że zakupy robiłam kilka razy dziennie. A wszystko musiałam robić sama.

Echo: Ile poradni będzie funkcjonować w ośrodku?

B.K: Późną jesienią złożę jeszcze aplikację na laryngologię i ginekologię. W dalszej przyszłości będzie stomatolog.

Echo: Skąd pani czerpie energię, aby pokonywać trudności?

B.K: Jeżdżę rowerem, ostatnio trochę rzadziej, ale lubię też jogę. Spalam trochę stresu jedząc(śmiech).

Echo: Jak w skrócie określiłaby Pani swoją dewizę życiową?

B.K: „Robić wszystko najlepiej jak potrafię, z całej siły".

Echo: Dziękujemy za rozmowę. Życzymy Pani wytrwałości i wszystkiego dobrego na kolejne lata.

rozmawiały: Aleksandra Drzał, Marta Kaliciak, Joanna Pisarska, Magdalena Żelasko

Szlakiem Winno-Miodowym

Grodziec miodem i winem płynący

Centralnym punktem Szlaku jest Zamek Grodziec, z którego można rozpocząć wędrówkę w dowolnym kierunku. Przyjmijmy wariant w kierunku Złotoryi, najstarszego miasta w Polsce.

Z Grodźca, przez Uniejowice, gdzie w gospodarstwie p. Michała Sabadacha można zwiedzić powstałe „ku pamięci" prywatne muzeum armii sowieckiej, udajemy się do Złotoryi. Z miasta, w kierunku na Jawor, docieramy do Wilkowa. Znajduje się tu jedyna w powiecie pracownia artystyczna p. Olszowej, przystosowana obecnie do roli agrogospodarstwa.

Monte Christo pod osiemdziesiątką

Kolejną miejscowością, słynącą z urządzanych tu co roku „Dymarek Kaczawskich" jest Leszczyna. Pod nr 15 jest „Bacówka" – gospodarstwo agroturystyczne z izbą pamięci i niewielkimi

nasadzeniami winorośli, prowadzone przez Jana Bobrka. Ciekawa, choć na pewnym odcinku terenowa trasa wiedzie do wsi Pomocne. Tam pod 80 znajduje się gospodarstwo „Monte Christo" oferujące staropolski chleb, wycieczki bryczką, imprezy oraz wizytę w tworzonym skansenie. Z Pomocnego do Męcinki jest tylko 10km. Stąd można wybrać się nad Zalew Słup, na południe na Drogę Kalwaryjską lub do Jawora. Stamtąd jest już tylko 7km do miejsca martyrologii więźniów obozu pracy– Gross Rosen w Rogoźnicy. Można tam dotrzeć przez Mściwojów, w którym gospodarstwo agroturystyczne prowadzi Stanisława Kosak. Z Jawora, drogą 65 udajemy się do Paszowic, a stamtąd do Bolkowic, do wzorowo prowadzonej pasieki p. Olszewskiego, posiadającego bogatą ofertę produktów pszczelarskich.

Z Jawora można ruszyć alternatywną, krótszą, choć równie atrakcyjną trasą przez Myślibórz, Myślinów, Muchów do Starej Kraśnicy.

Ruiny po drodze do agroturystyki

Aby dobrze zjeść i napić się wina w prywatnej winnicy, a także odwiedzić wiele interesujących miejsc, należy z Bolkowic, przez Wiadrów, Kwietniki, zajechać do gospodarstwa „Muflon" pp. Nawarów w Grobli. Wiele zabytków sakralnych znajdziemy w pobliskim Pogwizdowie, gdzie gościny udzieli agrogospodarstwo Marka Sowy. Miłośnicy pszczół, miodów i innych pszczelarskich atrakcji i ciekawostek koniecznie powinni odwiedzić pasiekę i skansen pszczelarski u pp. Sułkowskich w Bolkowie. Stamtąd można pojechać do gospodarstwa agroturystycznego p. Pękalskiego. Wcześniej, przy drodze, zwiedzić ruiny zamku „Świny". Na północ od Bolkowa znajduje się Jastrowiec, a w nim p. Chajutin prowadzą „Chatę Morgana". W Chacie króluje współczesna muzyka i wytwarzane są na miejscu wyroby ceramiczne.

Lipa na szlaku

Kolejna miejscowość na szlaku to Lipa. Szczególnie interesujący jest rezerwat „Wąwóz Lipy", położony na północ od wsi. Dobków charakteryzuje się aktywnością w promowaniu regionalnych form działalności turystycznej, czego dowodem jest Ekomuzeum Rzemiosła, skupiające miejscowych twórców. Do wyróżniających się artystów można zaliczyć Bogusławę Rudnicką (Dobków 104) oraz Elżbietę Telatyńską (Dobków 14). U pp. Rozpędowskich, prowadzących agrogospodarstwo „Villa Greta", można dobrze zjeść, a także degustować wytwarzane na miejscu wina i nalewki. Gospodarze są aktywnymi działaczami na rzecz rozwoju turystyki wiejskiej. W Dobkowie można kupić wyroby pszczelarskie oraz produkty spożywcze oferowane przez rodzinę pp. Księżyków.

Miód i orzechy

Z Dobkowa już tylko kilka kilometrów dzieli nas od Starej Kraśnicy. Na rozstaju dróg znajduje się gospodarstwo agroturystyczne pp. Kikułów. W ofercie- noclegi i miód od zaprzyjaźnionego pszczelarza, a w niedalekiej przyszłości również ryby z własnego stawu i orzechy z sadu. Skrócony szlak z Jawora prowadzi przez Myślibórz. Znajduje się tu wiele atrakcji turystycznych: rezerwat przyrody „Wąwóz Myśliborski", neogotycki pałac z trzystuletnim parkiem, schronisko młodzieżowe oraz Centrum Edukacji Ekologicznej „Salamandra". Gościny udzieli turystom Halina Kumik. Przez Myślinów, leśnymi drogami, dojeżdżamy do Muchowa, znanego z imprezy folklorystycznej „Muchowska Kosa" oraz leśnej ścieżki edukacyjnej. Stąd przez Starą Kraśnicę- do bogatej w zabytki, a także imprezy sportowe Świerzawy (ok. 10 km.)

Agaty i organy

Kolejnym etapem szlaku jest Sędziszowa, słynąca z agatów porfirowo-kwarcowych, organów wielisławskich i agrogospodarstwa „Wieleslawka" pani Krystyny Zdziechowicz.

Do założonej przez templariuszy Pielgrzymki można dojechać przez Proboszczów, w którym w „Zaczarowanym Ogrodzie" pan Kurela podejmuje gości winem i winogronami z własnej winnicy. Pobliski szczyt Ostrzycy, (Śląskiej Fudżijamy), stanowi szczególną atrakcję turystyczną regionu.

Druga droga prowadzi przez bogaty w gospodarstwa agroturystyczne Nowy Kościół. Nowością w ofercie Szlaku jest ośrodek hippiczno-rekreacyjny „Bretania"pani Małgorzaty Dobru, którego zadaniem jest przywracanie zdrowia przez rehabilitację leczniczą z odpowiednio ułożonymi końmi. Podobną ofertę, ale znacznie bogatszą ofertę ma Krzysztof Dzido, prowadzący gospodarstwo „Fabio".

Blisko do Grodźca

Zdrowie przywraca również apiterapia. W tej dziedzinie fachowcami są państwo Krupscy, właściciele pasieki, oferujący całą gamę pszczelich produktów i lekcje poglądowe w pasiece. Zainteresowani mogą skorzystać z miejsca biwakowego w ogrodzie lub noclegu w sąsiadującym hotelu „Pod Bocianem". U państwa Zielińskich (Krzeniów) można tanio wypocząć, można również złapać taaaką rybę. Z Pielgrzymki, Złotoryjskim Lasem, omijając Cygańskie Skały, przez wieś Czaple, w której pasiekę prowadzi Leszek Barski, dojeżdżamy do Nowej Wsi Grodziskiej. Miejscowy kościół słynie z ciekawego wystroju architektonicznego. U mieszkających tu pszczelarzy, panów Poznara i Sokoła możemy zaopatrzyć się w miód i inne produkty, będące owocem pracy pszczół. Stąd do Grodźca już bardzo blisko.

Z Pielgrzymki można też pojechać do Wojcieszyna, odwiedzić rancho „Pod Strusiem" Ewy Wolak, by skierować się na drogę do Grodźca. Przedstawiona trasa zawiera bardzo skrócony opis gospodarstw agroturystycznych, pasiek oraz innych godnych odwiedzenia obiektów w południowej części Szlaku. Część północna – od Grodźca po Przemków, jest w trakcie pełnego opracowywania.

Leszek Telatyński
Zdjęcia: Andrzej Pękała

Jak nie zjadłam obiadu, czyli kawa ponad wszystko

„Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal…" pomyślałam sobie, siedząc w słoneczną niedzielę nad modrym, bystrym… (oj, zapędziłam się) stawem w ogródku restauracji „U Jana".

Ostatnie, być może, niedzielne popołudnie w scenerii złotej polskiej jesieni nastroiło mnie tak, że postanowiłam: idziemy na ryby. Jako, że łowić potrafię, tak jak śpiewać i malować, poszliśmy na ryby wyłowione i wypatroszone. Na szczęście od kilku miesięcy, by skonsumować świeżą rybę, nie trzeba jechać nad morze. Wystarczy kilka minut podróży samochodem i już mamy namiastkę nadmorskiego kurortu. Tylko że ryby tu raczej nie morskie, a słodkowodne, z sąsiedzkiego akwenu. Z restauracyjnego menu mogliśmy wyczytać, że ryby bywają pod różnymi postaciami: smażone, pieczone, pływające w zupie… Co więcej - nie tylko ryby serwuje lokal „U Jana". Kiedy zobaczyłam, że mój ulubiony placek po węgiersku kryje się wśród dań, zapragnęłam go silniej niż jakiegokolwiek pływającego niegdyś pstrąga czy karpia. I to, niestety, było niefortunne posunięcie. Wielkość placka nie rekompensowała jego mało atrakcyjnego smaku i wyglądu. Na talerzu było za brązowo. Nawet surówki takie jakieś monochromatyczne się

zdawały. A i smak dania nieszczególnie mnie fascynował. Chyba kucharz nie włożył w ten placek serca. Choć z drugiej strony nie wiem, czy chciałabym taki placek z sercem kucharza Wystarczy, że od czasu do czasu spożywam zwierzęce.

Dłubiąc w swoim mało atrakcyjnym talerzu, a raczej w papce, którą tam, ku memu rozczarowaniu, znalazłam, rzucałam chciwe spojrzenia na dania moich współbiesiadników. Oni, kierując się raczej bezbłędną intuicją, wybrali potrawy ciekawsze od mojej i w formie i treści. Zupa rybna choć w ilości była skromna, to w smaku wykwintna, smażony pstrąg wyglądał jak żywy, a wedle relacji, smakował wyśmienicie. Nawet klasyczny schabowy z frytkami budził zachwyt najmłodszego z konsumentów. Ale kiedy miła kelnerka przyniosła mi kawę, to i ja wpadłam w błogostan, mimo że bryza (?) od stawu zwiewała mi piankę z cappuccino, to i tak czułam się świetnie. A że nie zjadłam w końcu swojego placka, to dobrze. Kiedyś trzeba wreszcie przejść na dietę. Tylko kto w tej sytuacji będzie testował, przybywające jak dżdżownice po deszczu, kolejne miejscowe lokale?

Iwona Pawłowska

Doktor Michał i jego zwierzęta

Kilka tygodni temu na forum portalu internetowego www.zlotoryja.info rozgorzała dyskusja na temat jakości usług weterynaryjnych w naszym mieście. Wymiana poglądów była burzliwa, nie brakowało zjadliwych komentarzy, ale pojawiły się też głosy zadowolonych właścicieli zwierząt, którzy

wspominali o fachowości „nowego weterynarza, który przyjeżdża z Legnicy". Zaintrygowały mnie te opinie, bo w kraju, w którym wszyscy narzekają na wszystkich i wszystko, pochwały są oryginalną formą opisu rzeczywistości. Postanowiłam na własne oczy przekonać się o tym, czy entuzjaści nowego weterynarza mieli rację i przyjrzałam się jego pracy.

Umawiam się telefonicznie z p. Michałem Lichościem, że spędzę w jego gabinecie jako obserwator cały sobotni dyżur. O wpół do ósmej jestem punktualnie pod lecznicą nieopodal skrzyżowania ulicy Legnickiej z Chojnowską. Czekam na doktora, ale nie wiem, jak wygląda, więc bacznie obserwuję wszystkie przejeżdżające nieopodal samochody i ich kierowców. Do głowy by mi nie przyszło, że wyglądająca na nastolatków para wysiadająca z czerwonego auta, to weterynarz i jego asystentka. Pozory mylą.

Wchodzimy razem do gabinetu: schludna poczekalnia, dalej pokój przyjęć, potem sala operacyjna, a w głębi pomieszczenia gospodarcze. *Kiedyś to było jedno wielkie prostokątne pomieszczenie. Musiałem je po swojemu przebudować* – mówi p. Michał. *To było najtrudniejsze w zakładaniu gabinetu. No i jeszcze zgromadzenie odpowiedniego sprzętu.* Widać, że weterynarz stawia na diagnostykę. W gabinecie oprócz tradycyjnego sprzętu stoi ultrasonograf. *W przyszłości chciałbym jeszcze kupić aparat do RTG* – planuje lekarz.

Pierwszą pacjentką w ten sobotni poranek jest Gatta. Właścicielka kotki przynosi ją na zaplanowany wcześniej zabieg. Będzie to rutynowa, jak mówi doktor, sterylizacja. Szara kotka jest piękna, zadbana i dobrze odżywiona. Nie wykazuje na razie oznak zdenerwowania, o co jednak nie można posądzić jej właścicielki. Weterynarz studiuje książeczkę zdrowia kota a potem dokładnie bada Gattę. Znajduje ślad po dawnym zabiegu usunięcia cysty. Jednak blizna po operacji nie powinna przeszkadzać w nowym zabiegu. lekarza niepokoi raczej coś innego, zgrubienie pod drugą tylną łapą. Zaczynają się przygotowania do sterylizacji. Najpierw trzeba znieczulić kotkę. Będzie to narkoza podobna do tej stosowanej u ludzi. Weterynarz robi zastrzyk w szyję kotki. Gatta wrzeszczy niemiłosiernie i ucieka do swojego nosidełka. Tam zaśnie. Po kilkunastu minutach asystentka Magda wyjmuje z legowiska śpiącą kotkę i przenosi ją na stół przeznaczony do badań. Gatta, mimo kamiennego snu, ma szeroko otwarte ślepia. Wygląda to dość dziwacznie. Teraz trzeba ogolić zwierzęciu brzuszek. Najpierw maszynką, a później brzytwą. Asystentka spryskuje skórę Gatty żółtym aseptycznym płynem. Przygotowane do sterylizacji zwierzę zostaje teraz przeniesione do sali operacyjnej. W pomieszczeniu panuje chłód. Jednak nie przeszkadza on ani lekarzowi ani jego asystentce. *Jak zapala się lampy nad stołem i operuje pod nimi, to pot pojawia się na twarzy* – mówi p. Michał. *Szczególnie dokuczliwe jest to dla osób tak wysokich jak ja* – śmieje się doktor.

Magda (prywatnie studentka turystyki i instruktorka jazdy konnej) układa kotkę na stole operacyjnym i na brzuszek zakłada jej chusty, które szczelnie będą przykrywać ciało kotki. Teraz łatwo zobaczyć, jak niewielkie będzie pole cięcia. Wyznacza je otwór w chuście. Teraz weterynarz i asystentka ubierają się w zielone kitle i są gotowi do zabiegu. Ja, niestety, ze względu bezpieczeństwa kotki, własnego oraz operatorów, muszę opuścić salę.

Kiedy wracam tam po godzinie, okazuje się, że pozornie rutynowa sterylizacja, była trudniejszym niż przewidywano zabiegiem. Sprawę skomplikowała nieprzewidziana ciąża Gatty. Sterylizacja okazała się zbawienna w skutkach i przeprowadzona w samą porę. Usunięto ciężarną macicę, nim pojawiły się szkodliwe dla życia kotki efekty rozkładu płodów. Asystentka pokazuje mi efekt kociej aborcji. Zdecydowanie nie jest to estetyczny widok. Nie daję jednak poznać po sobie, że przyprawia mnie o mdłości. Nie chcę dać weterynarzowi satysfakcji, że miał rację, kiedy obawiał się o moją reakcję na niektóre zabiegi. Trzymam fason, choć przekonam się niedługo, że to strasznie trudne.

Kotka po zabiegu zostaje ubrana w specjalny kubraczek, który będzie musiała z gracją nosić przez najbliższe tygodnie. Kraciasty kaftan zapobiega samodzielnemu ściągnięciu szwów przez kota. Kiedy Gatta będzie jeszcze przez kilka godzin dochodzić do siebie w sali zabiegowej, obok pojawią się kolejni pacjenci.

Następny jest jeż, tymczasowo zwany Jeżykiem. Znajoma przynosi go do weterynarza, by fachowiec zobaczył, co można zrobić dla wychudzonego i ledwie żywego znajdka. Lekarz delikatnie bierze w ręce kłujące stworzenie. Diagnozuje zapadłe boki, sprawdza błony śluzowe oraz odkrywa wśród igieł dwa kleszcze, które skutecznie wykręca szczypcami. Znajoma otrzymuje słowa otuchy, (*wszystko będzie z Jeżykiem dobrze*), proszek na pchły dla znajdy i kocią karmę na jej podtuczenie. Zwierzę musi się przede wszystkim wzmocnić, aby przetrwać zimę.

O zapadniętych bokach trudno byłoby mówić w przypadku następnego pacjenta. Do gabinetu wchodzi bowiem lekko wystraszony labrador. Co typowe dla tej rasy – wygląda jak kluska. Właścicielka martwi się o jego nogę. *Pies piszczy i nie chce chodzić* – mówi lekarzowi. *Zwykle jest wytrzymały na ból, ale teraz musi bardzo cierpieć.*

Georg, tak wabi się kulejący labrador, bardzo grzecznie poddaje się badaniu. Lekarz chce najpierw zobaczyć, jak pies chodzi, potem kładzie go i ugina oraz rozprostowuje jego łapy, aby zlokalizować źródło bólu. Za chwilę podaje mu zastrzyk, który labrador z godnością przyjmuje. Żadnych skowytów czy jęków. Tylko ja piszczę z zachwytu, kiedy pies tuli się do mnie jak do starej znajomej. Wystarczyło, że go pogłaskałam, a już jest mój. Nie wiem, co na to właścicielka.

Przez szybę w drzwiach widzę, że w poczekalni jest ruch. Za chwilę do gabinetu wejdzie dwoje młodych ludzi ze sznaucerem. Pies od kilku dni cierpi na zaparcie. W żaden sposób nie udaje mu się wypróżnić. Lekarz pyta o dietę i zwyczaje psa. Interesuje go, czy sznaucer jada kości drobiowe. Kiedy znajduje potwierdzenie, poucza właścicieli, aby unikali podawania tego przysmaku zwierzęciu. Tu sama okazuję zdziwienie. Pies zawsze kojarzy się z jedzeniem kości. Nic bardziej mylnego. Kości, szczególnie drobiowe, mogą spowodować poważne dolegliwości ze strony układu trawiennego. Niejednokrotnie trzeba operować psa z powodu kości, która, niestrawiona, utknęła w brzuchu zwierzęcia.

Zaczyna się badanie sznaucera. Pies jest raczej niechętny zabiegom wokół jego „osoby", dlatego też weterynarz dla własnego bezpieczeństwa zakłada jeden z licznie zgromadzonych w gabinecie kagańców różnej wielkości. Mimo wszystko właściciele, lekarz i asystentka mają trudności z utrzymaniem pacjenta. Po chwili, ku mojemu zaskoczeniu, p. Michał stwierdza: *trzeba psu pomóc zrobić kupę*. Zastanawiam się, jak weterynarz ma zamiar to uczynić. Ale kiedy zakłada rękawiczki, a asystentka przygotowuje ligninę i wodę, zaczynam się domyślać. Tu oszczędzę czytelnikom dokładnych i sensualnych opisów zabiegu, którego jestem dobrowolnym świadkiem. Przyznam, że wolałam patrzeć wtedy na miny p. Michała i Magdy, a odkryłam ze zdziwieniem, że cały zabieg „odkupienia" psa przyjęli ze stoickim spokojem. Żadnych grymasów czy obrzydzenia na ich twarzach nie znalazłam.

Po zrobieniu tego, co trzeba, pies się uspokoił i odzyskał humor. W końcu pozbył się kilkudniowego ciężaru Ja natomiast straciłam apetyt. Właściciele sznaucera otrzymali na koniec wskazówki dotyczące

diety czworonoga oraz zalecenia pielęgnacji jego tyłu, po czym zadowoleni opuścili gabinet.

Teraz miejsce sznaucera zajmuje młody, dwumiesięczny amstaff. Pies przyszedł na szczepienie przeciw wściekliźnie. Kiedy p. Michał wykonuje czynności dokumentacyjne: wypełnia książeczkę zdrowia psa, sprawdza chip, rozmawiam z właścicielem amstaffa. Próbuję zaspokoić ciekawość, czy faktycznie jest to niebezpieczna rasa. Właściciel, młody mężczyzna, twierdzi, że wokół amstaffów narosło wiele nieporozumień. *Taki pies lubi ludzi, przywiązuje się do nich, ale potrafi być niebezpieczny wobec innych psów. Aby dobrze wychować swojego, wożę go na szkolenia do Legnicy. Tam pies, wśród podobnych sobie, nabywa właściwych odruchów i uczy się posłuszeństwa. Najważniejsze jest wychowanie* – wyjaśnia mężczyzna. W gabinecie pies zachowuje się spokojnie. Nie przeszkadza mu fakt, że lekarz musi go delikatnie ukłuć, podając szczepionkę. Nie rzuca się na nikogo i bezpiecznie dla nas opuszcza gabinet.

Po tych kilku psich wizytach wreszcie pojawia się kot. I to jaki kot! Maine coon. Wypełnia cały pojemnik transportowy. Wygląda przepięknie. Długi na metr, bogato owłosiony siedmiokilogramowy kocur przyjechał na szczepienie. Lekarz sugeruje, że oprócz szczepienia przydałoby się zaaplikować kotu preparat na odrobaczenie. To bardzo ważne, kiedy zwierzę ma kontakt z dziećmi. Asystentka przygotowuje strzykawkę z białą masą. Nie będzie jednak iniekcji. Biały preparat to środek na odrobaczenie. Podaje się go wprost do pyszczka zwierzęcia. Jest to wygodniejsza metoda niż aplikowanie tabletek. Kot grzecznie otwiera pysk i oblizuje się po zjedzeniu trucizny na pasożyty. Szczepieniu poddaje się już mniej chętnie. Na widok kolejnej strzykawki zaczyna wykazywać niebywałą aktywność. Jak na siedmiokilowego kota, jest dość zwinny. Właściciel twierdzi, że kocur uwielbia ruch. *Nie jest to typowy kanapowiec. Lubi buszować w ogrodzie, ale kiedy wraca do domu, przynosi na swojej sierści wszystko, co się da przynieść* – mówi.

Kolej na następnego pacjenta. Wielorasowy psiak bezskutecznie zapiera się przed wejściem do gabinetu. Dwie towarzyszące mu kobiety są bezwzględne i zdecydowane. W końcu pies siedzi na kozetce. Z rozmowy z właścicielkami wynika, że pies potrzebuje natychmiastowej pomocy. *Jest ospały, nie chce chodzić, bez entuzjazmu reaguje na to, co kiedyś sprawiało mu radość* – wyjaśnia jedna z nich. *Zwykle jest bardzo energiczny, a teraz leży i nic nie je od kilku dni.* Pies nie bardzo rozumie, że weterynarz chce mu pomóc. Gwałtownie protestuje, kiedy ten chce go zbadać. *Jak będziesz grzeczny, to pójdziesz na ryby* – motywuje czworonoga właścicielka. Niewiele to pomaga. Ujadanie psa jest tak głośne, że muszę wyłączyć dyktafon, ponieważ nic poza szczekaniem się nie nagra. W końcu lekarz podaje psu lekarstwo w zastrzyku i zaleca obserwację. *Jeśli w ciągu dwóch dni samopoczucie psa się nie poprawi, trzeba będzie zrobić badania krwi* – wyjaśnia. Materiał do badania pobiera się w lecznicy i zanosi do „ludzkiego" laboratorium.

Jesteśmy dopiero w połowie dyżuru, a końca nie widać. Mylą mi się już rasy i imiona zwierząt. A w poczekalni pojawiają się kolejni pacjenci.

Teraz pora na basseta. W zasadzie bassetkę. Właścicielka przyprowadza ją do lekarza, aby ten zaradził cieczce suki. Asystentka Magda rozpływa się w zachwycie nad urodą bassetki. Nic dziwnego, w domu ma przedstawiciela tej rasy, ale w wydaniu męskim. Namawia nawet właścicielkę suki, by „coś z tym uczynić". Pani bassetki ma jednak inne plany. Chce zabezpieczyć sukę przed ciążą. Lekarz odradza jej podawanie tabletek. Są mało skuteczne i mogą doprowadzić do ropomacicza. Skuteczniejsza i bezpieczniejsza jest sterylizacja, ale prosi właścicielkę, by przemyślała sprawę. To w końcu zabieg nieodwracalny.

Po bassetce pora na niezidentyfikowanego dla mnie „owczarkamiędzyinnymi" - Maksa. Pies przychodzi w towarzystwie dwóch silnych panów. Okazuje się, że to niezbędna asysta, aby bezpiecznie zaszczepić zwierzę. Właściciel pyta również o paszport dla pupila. Chce za kilka miesięcy wyjechać z nim za granicę. Nie ma problemu. W gabinecie dra Michała taki dokument można załatwić od ręki. Pod warunkiem, że zwierzę ma wykonane wszystkie niezbędne szczepienia.

Wizyta, która teraz ma miejsce, zdecydowanie na dłużej zostanie mi w pamięci. Pewnie z powodu nietypowego problemu. Do gabinetu wchodzi prawdziwie rasowy kilkumiesięczny wilczur długowłosy. Pies przyszedł na konsultację. Pewien czas temu wykonano mu zabieg modyfikacji płci. Urodził się jako obojnak. Jednak narządy żeńskie były

bardzo słabo rozwinięte. *Występowały tylko na zewnątrz i to w szczątkowej formie, więc je usunięto. Pozostał problem z kosmetyką narządów męskich* – wyjaśnia weterynarz. Pierwszy raz słyszę o takim przypadku u zwierząt. Po badaniu okazuje się, że jest jeszcze problem z właściwym siusianiem wilczura. Dlatego lekarz decyduje się na zacewnikowanie psa. Zrobi to jednak następnego dnia. Uprzedza właścicieli, że zwierzak z cewnikiem to poważny problem. Trzeba go bacznie obserwować, regularnie otwierać cewnik i nie dopuścić do samodzielnego wyjęcia rurki. Nie wyobrażam sobie, jak to jest możliwe przy tak ruchliwym psie. Właściciele są jednak dobrej myśli. Podziwiam ich determinację.

Wilczur ustępuje miejsca ratlerkowi. Pies, Muki, przychodzi na kontrolę po usunięciu ośmiu zębów oraz konsultację wyniku biopsji z guza umiejscowionego na nosie zwierzęcia. Niestety, p. Michał nie ma dobrych wieści dla właścicielki psa. Wynik analizy materiału pobranego do badania wskazuje wstępnie na nowotwór. Kobieta jest przerażona. Widać, jak bardzo przywiązana jest do

pupila. Wychodząc z gabinetu, wspiera się nadzieją, że może wszystko będzie dobrze, ponieważ nos Mukiego wygląda znacznie lepiej niż kiedyś. Lekaż nie rozwiewa tej nadziei. W końcu cuda się zdarzają.

Nareszcie spokój. W poczekalni nikogo nie widać. Teraz mamy czas na wypicie kawy i rozmowę. Za kilkanaście minut przyjedzie właścicielka Gatty po odbiór kotki, która wygląda już nieźle. Wykorzystując brak pacjentów, mogę wreszcie dowiedzieć się, dlaczego p. Michał zdecydował się na otworzenie gabinetu w Złotoryi i tym, samym na codzienne dojazdy. *Chciałem się usamodzielnić. Co prawda dalej pracuję w legnickiej lecznicy, ale teraz mam już swój gabinet. A dlaczego Złotoryja? Pracując w Legnicy, miałem wielu pacjentów ze Złotoryi. I to wcale nie z takimi skomplikowanymi sprawami. Pomyślałem, że musi tu być zapotrzebowanie na usługi weterynaryjne. Poza tym mam sentyment do Złotoryi. Miałem tu kiedyś liczną rodzinę, a teraz pozostał tylko wujek i kuzyn* – wyjaśnia. Pytam niedyskretnie o wiek młodzieńczo wyglądającego lekarza, wymijająco odpowiada, że trzy lata temu skończył studia.

Rozmowę przerywa przyjazd właścicielki Gatty, a potem kolejnego pacjenta – kocura. Redakcyjna koleżanka przywiozła dużego rudzielca na zabieg usunięcia kamienia nazębnego. Kot do tego zabiegu będzie poddany narkozie. Jednak typ znieczulenia będzie inny niż w przypadku Gatty, dlatego też asystentka goli sierść na przedniej łapie kocura, by w to miejsce wbić wenflon. Przez niego lekarz poda narkozę. W miarę potrzeb dawka zostanie zwiększona. Wszystko zależy od czasu trwania czyszczenia zębów. Śpiący zwierzak przeniesiony zostaje do sali operacyjnej opuszczonej już przez kotkę po sterylizacji. Teraz on będzie bohaterem kolejnej godziny. Czyszczenie zębów nie różni się wiele od usuwania kamienia nazębnego u ludzi. Tylko pacjent śpi i nie wie, że za chwilę straci trzy zepsute zęby, które trzymały się tylko na kamieniu. Trochę krwi nie robi już na mnie wrażenia. Jestem przekonana, że kilka takich dyżurów przyuczyłoby mnie do funkcji asystentki, a być może skutecznie pozbawiło wrażliwości. Kiedy pod koniec dyżuru p. Michał pyta mnie o wrażenia, szczerze mogę powiedzieć: *świetnie było*. Choć nie wiem, czy faktycznie zamieniłabym się rolami. Może nich każdy robi, to co umie najlepiej.

Iwona Pawłowska
zdjęcia: Anna Chrzanowska

Pałac w Prusicach

OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA

Swoją ofiarną działalnością społeczną wyróżnił się również **Stefan Gregulski**.
Był wieloletnim komendantem OSP w Prusicach. Swoje zaangażowanie potrafił wszczepić synowi **Kazimierzowi**, obecnemu komendantowi OSP w Prusicach, a także swoim wnukom.

Stefan Gregulski chętnie udzielił wywiadu:
Magdalena Wojak, Aneta Gregulska:
- Był Pan jednym z licznych osadników Prusic po II wojnie światowej. Jak wspomina Pan pierwszy rok po przyjeździe na te ziemie?

Stefan Greguski: Razem z rodziną przybyłem na Dolny Śląsk już w sierpniu 1945 roku, miałem wtedy zaledwie 18 lat. Informacje o Prusicach otrzymaliśmy od wcześniej przybyłych tutaj krewnych. Kilka gospodarstw zostało już zajętych przez Polaków, którzy przed wojną pracowali u Niemców. Ciągle napływali nowi mieszkańcy i pomagaliśmy im się osiedlić. We wsi pozostało jeszcze parę rodzin niemieckich. Stacjonowało także kilku żołnierzy rosyjskich. Początkowo otrzymaliśmy pomoc w zagospodarowaniu się. W Prusicach znajdował się również posterunek policji. Na początku było dość niebezpiecznie. W razie napadu mieszkańcy solidaryzowali się i wspólnie bronili wioski.

M.W./A.G.: Słynie Pan z tego, że był Pan osobą bardzo zaangażowaną społecznie i chętnie działał Pan na rzecz rozwoju naszej wsi. Jak wyglądała Pana praca społeczna?

SG: Zaraz po osiedleniu zajęliśmy się organizowaniem kościoła i straży pożarnej. Początkowo sprowadzaliśmy niemieckiego księdza z Sichowa, potem już polskiego ze Złotoryi. Już w rodzinnych stronach interesowałem się strażą pożarną, więc po przyjeździe do Prusic zaangażowałem się w jej organizowanie. Problemem był brak prądu w młynie. Udało się nam sprowadzić agregat prądotwórczy, dzięki któremu mieszkańcy mogli mielić zboże.

MW/AG: Był Pan komendantem OSP, a praca strażaka jest bardzo niebezpieczna i trudna. Jak zdołał Pan zaszczepić tę, można powiedzieć, pasję swojej rodzinie?

S.G.: Synowie od dziecka, dzięki mojemu zaangażowaniu w OSP, interesowali się strażą. Razem ze mną uczestniczyli w zebraniach, potem w akcjach pożarniczych, aż w końcu zastąpili mnie. Pasja przeszła po prostu z ojca na syna.

M.W./A.G.: A jak rozwijało się Pana gospodarstwo rolne, można powiedzieć tutaj o zamiłowaniu do ziemi?

S.G.: Moi rodzice byli rolnikami, od dziecka pomagałem im w gospodarstwie. Uważałem za rzecz naturalną przejęcie gospodarstwa po ojcu.

M.W./A.G. :Był Pan obecny na spotkaniu polsko – niemieckim 15 czerwca tego roku. Pełnił Pan zaszczytną i symboliczną funkcję reprezentanta starszego pokolenia prusiczan, sadzącego „dąb pokoju". Jakie uczucia Panu wówczas towarzyszyły?

S.G.: Przede wszystkim czułem się zaszczycony, że to właśnie mnie wybrano, jako przedstawiciela starszego pokolenia i mam nadzieję, iż zasadzone drzewa będą symbolem pojednania.

KOŁO GOSPODYŃ WIEJSKICH

Wieloletnią działaczką i kierownikiem K GW była pani **Helena Rak,** która obecnie mieszka w Kozowie. Stałym punktem działalności była organizacja imprez środowiskowych takich jak: Dzień Kobiet, Dzień Matki, Dzień Dziecka, Dożynki. Koło uczestniczyło w różnego rodzaju konkursach oraz pokazach żywienia, wypożyczało naczynia, rozprowadzało kurczęta i paszę.

SENIORZY– SKARBNICA WIEDZY O PRZESZŁOŚCI

Bogactwo historii Prusic to przede wszystkim wspomnienia, jakimi chętnie dzielą się z młodym pokoleniem seniorzy Prusic, którzy przybyli tutaj i pokochali te ziemie. Są to: **Franciszek Robak, Emilia Dzikowska, Anna Oszyjczyk, Maria Hajduga, Helena Rak, Honorata Oleksy, Emilia Surma, Julia Pawlarczyk, Aleksander Olszak, Aleksander Adaszek, Franciszek Święcicki, Stefan Greguski, Irena Gregulska, Kornelia Nocuń, Joanna Lędzior, Franciszka Czech, Cecylia Cisło, Maria Howako**.

O PGR I NIE TYLKO

Wieś ma charakter typowo rolniczy.

Dawny PGR w Prusicach Górnych

Gospodarowanie na roli przechodzi tutaj z pokolenia na pokolenie, choć obecnie zauważa się znaczne osłabienie tej tendencji. W czasach PRL były tutaj dwa majątki PGR i 107 gospodarstw indywidualnych. Ostatnim kierownikiem PGR był mieszkaniec Prusic Dolnych, **Zdzisław Słowik.**

Magdalena Wojak: Jak wyglądały Pana początki na kierowniczym stanowisku w PGR w Prusicach?

Zdzisław Słowik: Moje początki na kierowniczym stanowisku były czymś normalnym, ponieważ przez 10 lat byłem zastępcą kierownika do spraw produkcji zwierzęcej. Wszystkie zagadnienia były mi dobrze znane, dlatego piastowałem to stanowisko 11lat.

M.W.: Ilu pracowników Panu wówczas podlegało?

Z.S.: W początkowych latach podlegało mi 123 pracowników, w tym z Prusic 68 osób, z Rzymówki 33, z Łaźnik 22 osoby. Z tego około 80 osób pracowało w produkcji zwierzęcej. Po 10 latach pracowało tylko 76 pracowników.

M.W.: Jak wyglądała codzienność ludzi tam pracujących? Czy ich praca była ciężka?

Z.S.: Pracownicy produkcji zwierzęcej mieli codziennie te same obowiązki, tj. karmienie i pojenie zwierząt trzy razy dziennie, ścielenie, wywożenie obornika, itp. Prace odbywały się według codziennego harmonogramu. Pracownicy produkcji roślinnej codziennie byli do dyspozycji i każdy otrzymywał różną pracę w zależności od potrzeb i pogody.

M.W.: Co i w jakiej ilości uprawiano na polach?

Z.S.: Uprawiano pszenicę -około 680 ha, jęczmień- 200 ha, buraki cukrowe- 100 ha, kukurydzę – 250 ha, ziemniaki – 20 ha. Na pastwiska i łąki przeznaczono 500 ha.

M.W.: Czy gospodarstwo było dobrze zmechanizowane?

Z.S.: *Jak na tamte czasy to dostatecznie.*

M.W.: Jak ludzie spędzali wolny czas? Jak się wtedy integrowali?

Z.S: *Jedni relaksowali się na ogródkach, inni w świetlicy zakładowej. Czasami były organizowane wycieczki krajoznawcze. Były też wycieczki zagraniczne*

Obecnie na bazie byłego PGR działa gospodarstwo dzierżawcy, **Mieczysława Kłaka**. Gospodarstwo rolne w krótkim czasie uległo zupełnej modernizacji, wyposażone jest w nowoczesny sprzęt rolniczy. Można więc powiedzieć, że w rolnictwie w Prusicach M. Kłak usunął kurz przed- i powojenny. Jest wzorem nowoczesnego i postępowego rolnika, nie bojącego się wyzwań. Aktywnie uczestniczył w przygotowaniach spotkania prusiczan i Prausnitzerów: zadbał o dwie sadzonki, które posadzono i o dalsze dwie, które otrzymali na pamiątkę Prausnitzerzy; sadził również nowe dęby.

Także wiele innych gospodarstw jest obecnie modernizowanych i powiększanych; należą do nich gospodarstwa : **Artura Hupentala** – obecnego sołtysa, **Marka Regulskiego, Kazimierza Gregulskiego, Mariana Czecha.**

ROLNIK POETA

Marian Czech opisał swoją działalność gospodarczą w stylu iście mickiewiczowskim, ujawniając swój niezwykły talent poetycki.

Już od lat przedszkolnych niechętnie pasałem krowy
Już wtedy bardzo mocno pragnąłem odnowy
Po mojej Pierwszej Komunii Świętej krowy przestałem pasać
Ku mojej wielkiej radości za końmi zacząłem hasać

Kiedy byłem już po maturze
Przekazali mi rodzice gospodarstwo nieduże
Ponieważ w gospodarstwie były tylko dwie chude szkapy
Zacząłem inwestować, kupować ziemie i maszyny na raty

Od tego czasu wiele się zmieniło
Gospodarstwo wielokroć się powiększyło
Choć za postępem trudno nadążyć
To nie wyobrażam sobie
Bym w tej ziemi przestał drążyć

Wszystko robiłem na miarę swoich możliwości
Czasem ponosiłem klęski, ale nie brakowało też radości
Starałem się, by ziemia była jak najlepiej uprawiona
Nie myślałem o tym, czy moja praca będzie godnie nagrodzona

Jeśli chodzi o przemiany
To Balcerowicz winien zostać ukarany
Urodzajnej polskiej ziemi najbardziej pracowite dzieci
Potraktował jak niepotrzebne śmieci

Gospodarkę Rzeczypospolitej doprowadził do upadłości
Najlepszych fachowców posłał do Niemiec jako nieproszonych gości
Jak teraz kraj odbudować?
Nie ma komu chwycić za kielnię i domów murować

Staram się przezwyciężyć wszystkie trudności
Swoich dzieci nie posyłać za granicę jako nieproszonych gości
W moim gospodarstwie jest wiele do zrobienia
Jeszcze wiele czasu upłynie, nim spełnią się moje pobożne życzenia

LUDOWY KLUB SPORTOWY „PRZYSZŁOŚĆ"

Dnia 22 lutego 2001 r. założono klub sportowy w Prusicach pod patronatem sołtysa **Artura Hupentala**. Klub ten postawił na szkolenie w sekcji piłki nożnej. Podczas walnego zebrania, dnia 25 kwietnia 2002 r. wybrano zarząd w składzie: **Mieczysław Kłak** – prezes, **Małgorzata Pałka** – zastępca prezesa, **Artur Hupental** – sekretarz. Dziś prezesem jest **Artur Hupental**, wiceprezesem **Zbigniew Głąb**, sekretarzem **Adrian Piątek**, członkami Zarządu: **Marcin Głąb** i **Maciej Kityk.** Kultura fizyczna w Prusicach opiera się na działalności szkół w Wilkowie – Osiedlu oraz w Rokitnicy, które duży nacisk kładą na wychowanie młodzieży w duchu sportu, a do których uczęszczają dzieci z Prusic. Dzieci prusickie mają poważne osiągnięcia na szczeblu powiatowym, wojewódzkim i nawet ogólnopolskim.

SOŁTYSI I RADA SOŁECKA

Pierwszym polskim sołtysem w Prusicach był **Jan Wojciechowski**. Kolejno po nim funkcje te piastowali: **Jan Hupental, Stanisław Prajsner, Leon Wrzecianowski, Alojzy Mojżesz, Michał Hatala, Władysław Poręba, Zbigniew Głąb**, zaś od roku 1999 do chwili obecnej -**Artur Hupental**. Istnieje również aktywna Rada Sołecka: Kazimierz Gregulski- przewodniczący, Marek Regulski, Zbigniew Zarzecki, Krystyna Bryczkowska i Anna Hupental.

W sprawie sołtysowania wypowiedział się poprzedni sołtys, **Zbigniew Głąb**:

Magdalena Wojak: Kiedy został Pan sołtysem w Prusicach?

Zbigniew Głąb: Byłem sołtysem od 1984 do 1998r.

M.W.: Jak wyglądały lata Pana pracy? Były łatwe i przyjemne czy też trudne i nieprzyjemne?

Z.G.: Powiedziałbym, że były to lata przyjemne, ale trudne.

M.W.: Jakie zadania zostały podjęte za Pana kadencji na rzecz rozwoju Prusic?

Z.G.: Za mojej kadencji została założona kanalizacja. Powstały wodociągi. Wypożyczałem też maszyny rolnikom, tj. kosiarkę, opryskiwacz, siewnik do buraków, rozrzutnik do obornika, itp.

M.W.: Jakie inwestycje w Prusicach powinny mieć, Pana zdaniem, jeszcze miejsce?

Z.G.: Powinna zostać wybudowana szatnia sportowa, plac zabaw dla dzieci, chodnik dla pieszych.

M.W.: Jak wygląda współpraca i integracja wsi Prusice?

Z.G.: Istnieje mała grupa ludzi w Prusicach próbująca coś zorganizować, ale to za mało.

KRZYŻ WIEJSKI

Wypędzeni musieli ustąpić miejsca wypędzonym. Są tacy, w Polsce i w Niemczech, którzy zżymają się, słysząc słowo wypędzeni-wolą mówić o repatriacji lub przesiedleniu. A ci najbardziej wojujący używają tego pojęcia wyłącznie w stosunku do „swoich" i „naszych"; „tamtych" to „tylko" przesiedlono lub wysiedlono. Rozstrzygające musi być jednak to, jak te wydarzenia z lat 1945-46 oceniają i odczuwają dotknięci tym dramatem, a więc Kresowianie oraz ówcześni niemieccy Ślązacy. Jednym i drugim wyrywają się spod serca słowa: zostaliśmy z naszych ojczyzn wypędzeni. To efekt dwóch totalitaryzmów: brunatnego i czerwonego. Na ten aspekt zwrócił uwagę Franciszek Kostuś, który w trakcie swojego spontanicznego i porywającego wystąpienia w trakcie uroczystości w dniu 15 VI 2008 r., „ przyłożył" i faszystom, i komunistom, i aliantom zachodnim, i naszym błędom oraz przywarom.

Panorama Prusic Dolnych

Ludność polska, przybyła do Praustnitz i tu spotkała się z przedstawicielami narodu, który zadał im tyle cierpień. Po odejściu Prausnitzerów pozostały po nich ślady nie tylko w postaci dobrze urządzonych zabudowań , lecz także „obcy" kościół (ewangelicki), „jakiś" niemiecki pomnik, tablice na cmentarzu, w kościele… Pierwsi prusiczanie zaczęli więc „oswajać krajobraz"- kościół stał się ruderą, pomnik zlikwidowano… Jednym z elementów owego „ oswajania krajobrazu" było stawianie swoich akcentów, np. krzyży. Mówią zapiekli nacjonaliści: „Najlepsi Niemcy, to ci na cmentarzu", „ Ruski to ruski", „ Jude raus", „Ukraińcy? Jaki to naród, jakim prawem oni mają państwo?" (w sprawie Ukraińców odbyłem niedawno bardzo zasadniczą „rozmowę").

Wydawałoby się więc, że nikt nie jest w stanie skłonić przedstawicieli tych nacji do współpracy. Ale na szczęście nie wszyscy tak myślą. Dwa przykłady mamy w Prusicach. Pierwszy dotyczy rodziny Prausnitzera S. Winklera, która przeżyła dzięki temu, że jego rodzinę oraz przybyłą tu polska rodzinę uratowało mleko jednej krowy, którym się uczciwie dzielono (S. Winkler nie podał nazwiska tej polskiej rodziny nie mogąc przwidzieć reakcji mieszkańców).

Druga dotyczy drewnianego wiejskiego krzyża. Pierwsi polscy osadnicy postanowili takowy postawić. I postawili. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby w uroczystości nie uczestniczył starosta, inspektor szkoły, kierownik POM, lecz także sekretarze PPS i PPR oraz ksiądz proboszcz Dunas. Szczególną uwagę zwracał jednak udział żołnierzy Armii Radzieckiej; szeregowi nieśli ten krzyż, a „starszina" w czasie kwesty dorzucił 100 rubli. Nabyli tym samym „prawo" do udziału w „zakrapianym" spotkaniu towarzyskim ale wcześniej żołnierze musieli oddać broń, którą zamknięto.

Wiadomo, że coś takiego w Prusicach się odbyło. Trzeba przyjąć, że musiało to nastąpić przed końcem 1948 roku (wskazuje na to udział sekretarza PPR). Cecylia Cisło, żyjąca w Prusicach od 1946 r. twierdzi, że było to w roku 1947 (miała wtedy 17 lat). Krzyż postawiono między byłą szkołą, a obecnym (2008) domem parafialnym; posadzono wówczas także graby. Krzyż nadal stoi (ale inny), graby też rosną (na terenie byłej szkoły). C. Cisło nie przypomina sobie udziału żołnierzy radzieckich i spotkania-jeśli takowe się odbyło to najprawdopodobniej w byłym Ośrodku Maszynowym, nad stawem po lewej stronie w kierunku Rokitnicy.(A.M.)

Brama starego cmentarza w Prusicach

BIEGI POKOJU

„Odkrycie" dwóch „dębów pokoju" (z roku 1816 i 1866), dosadzenie dwóch dalszych (15.06.2008)oraz opieka nad tą „4"- to przedsięwzięcia niewystarczające. Teraz należałoby dęby „ochrzcić" (np. w 1. rocznicę); trzeba prusickie „dęby pokoju" włączyć do turystycznego „szlaku czterech świątyń jadwiżańskich".

Trzeba dać jakiś nowy, atrakcyjny i powtarzalny element, upamiętniający to wydarzenie. Idealnym wydaje się zorganizowanie co roku w Prusicach pod koniec roku szkolnego „ biegów pokoju" lub „ sztafet pokoju". Szkoły niestety w Prusicach już nie ma, lecz jest ładna świetlica; jest ponad pół setki dzieci w różnym wieku szkolnym, są nauczyciele; jest aktywny sołtys A. Hupental i Rada Sołecka; jest chętna do pomocy Wójt M. Leśna; jest TMZZ, które nie tylko „podrzuca" pomysły ale i energicznie pomaga.

Prusice nie dobiegły do mety- Prusice wystartowały do nowych zadań.(A.M.)

PRUSICE – 2008

Historia i dzień dzisiejszy przeplatają się. W starych, zabytkowych budynkach mieszkają „inni", młodzi ludzie. W rejestrze zabudowań Prusic znajduje się obecnie 121 budynków. Ponad połowa z nich (62) to obiekty podlegające ochronie zabytków. W rejestrze zabytków znajdują się obiekty sakralne: Kościół św. Jadwigi, kaplica cmentarna (XVIIIw.). Przy wejściu na plac kościelny znajduje się (w murze) zabytkowy krzyż pokutny.

Przez Prusice prowadzi m.in. szlak turystyczny – „Szlak czterech świątyń jadwiżańskich", łączący miejscowości, w których kościołom patronuje św. Jadwiga (Złotoryja, Sokołowiec, Wysocko, Prusice).

W ciągu 60 lat powojennych Prusice przeszły wiele przeobrażeń. Nienależyta dbałość o obiekty, bądź brak właścicieli, spowodowały zniszczenie kilku budynków, lecz zbudowano też 13 nowych domów mieszkalnych. Wieś została zwodociągowania i skanalizowana, mieszkańcy mają telefony.

Nie bez znaczenia są przeobrażenia społeczne. Prawie połowa mieszkańców Prusic przez prawie 50 lat powojennych związana była z miejscowym PGR, pracując tam i zamieszkując w zakładowych mieszkaniach. Obecnie wszyscy mieszkańcy posiadają własne mieszkania, większość z nich potrafiła też znaleźć inną pracę.

Organizacjami integrującymi mieszkańców są: miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna legitymująca się 60-letnią działalnością oraz Ludowy Zespół Sportowy skupiający w swoim gronie młodych ludzi pasjonujących się grą w piłkę nożną. Aktywnie działa też sołtys i Rada Sołecka, organizując w miejscowej świetlicy spotkania dla mieszkańców. Po posadzeniu nowych „dębów pokoju" i odsłonięciu tablicy, ta część wsi w obrębie kościoła, dawnej (niestety) szkoły, Straży Pożarnej oraz świetlicy – stanie się swego rodzaju „rynkiem" Prusic.(A.M.)

Opracowali: Alfred Michler oraz mieszkańcy Prusic: Magdalena Wojak-koordynator, Artur Hupental, Alicja Głąb, Natalia Postrzelony, Aneta Gregulska, Karolina Wojak.

Jesteśmy wizytówką Twardocic

Zespół folklorystyczny „Macierzanki" z Twardocic został zarejestrowany w 1987 roku, chociaż faktycznie działa od 1981. Do jego głównej działalności należy wykonawstwo piosenek ludowych i biesiadnych. Występuje na imprezach folklorystycznych w swojej gminie i poza jej granicami, był w Niemczech i Czechach, ma na swoim koncie wiele nagród, dyplomów i podziękowań. Zespołem kieruje od początku Krystyna Kostrzewa, a członkiniami są: ***Stanisława Kowalczyk, Stanisława Księżyk, Stanisława Muzeja, Marianna Kasprzyk, Danuta Paluch, Józefa Paluch, Zofia Bałtrukiewicz, Wiesława Smolarska****. Akompaniuje na akordeonie* ***Józef Skibiński****. W tym roku w maju zespół wszedł w skład stowarzyszenia zespołów folklorystycznych Gminy Pielgrzymka.*

Placek ziemniaczany z boczkiem Wiesławy Smolarskiej

2 kg ziemniaków utrzeć na tarce, pół kilo boczku i dwie duże cebule pokroić w kostkę i usmażyć. Do masy ziemniaczanej dać 8 całych jaj, usmażony boczek, sól, pieprz. Masę utrzeć łyżką drewnianą. Piec całą godzinę w piekarniku w 200 stopniach. Podawać na gorąco (można też na zimno), do tego śmietana i keczup.

W każdy wtorek od godziny szóstej po południu w domu nr 47 w Twardocicach położonym tuż przy drodze do Pielgrzymki z szeroko otwartych okien na parterze rozbrzmiewa chóralny śpiew. Chociaż na budynku nie ma tablicy, wiadomo że próbę ma zespół folklorystyczny *Macierzanki*. Założyła go 27 lat temu pani **Krystyna Kostrzewa**, która do dzisiaj pełni w nim funkcję kierownika.

- Zawsze lubiłam śpiewać i bardzo chciałam założyć taki zespół - wspomina. - Pamiętam jak to było, gdy chodziłam od domu do domu i namawiałam kobiety, żeby się zapisywały. Zebrałam wtedy kilkanaście osób. Ale nie mieliśmy żadnego locum, więc zaproponowałam, że będziemy się spotykać na próbach u mnie w domu.

Od początku atmosfera w zespole była bardzo serdeczna. Po próbach siadały przy herbacie i ciasteczkach upieczonych przez panią Krystynę, aby zaplanować dalszą działalność lub zwyczajnie pogadać. Czuły się dobrze w zespole, nabierały odwagi do głoszenia własnych poglądów, mogły realizować swoje marzenia.

Sytuacja zmieniła się, gdy zespół otrzymał od gminy salę. Cieszyły się, że w końcu znalazły swoje miejsce, bo jednak salka w szkole, użyczona na jakiś czas przez życzliwą dyrektorkę, to nie było to. Zespół liczył już 18 osób, miał na koncie pierwsze sukcesy. Jednak nowa sala wymagała gruntownego remontu. Krystyna Kostrzewa z właściwą sobie energią miała baczenie na całość prac remontowych. Do nowego locum wprowadziły się w 1987 roku.

Pomieszczenia siedziby zespołu pełnią również rolę świetlicy wiejskiej, więc od czasu do czasu *Macierzanki* muszą je dzielić z pozostałymi mieszkańcami wsi na zebrania wiejskie lub inne imprezy. Jednak tak naprawdę to one są gospodarzami sali, czują się odpowiedzialne za to miejsce, dbają o nie, sprzątają. Siedziba zespołu składa się z kuchni i właściwej sali, gdzie odbywają się próby. Kuchnia jest duża, dobrze wyposażona. Stoi tu kuchenka z elektrycznym piekarnikiem, mikrofalówka, a gdy potrzeba, to i pod blachą się rozpali, bo jest też porządny piec kaflowy. Poza tym wszelkie niezbędne urządzenia i meble.

Są tu przygotowywane słynne potrawy *Macierzanek*: roladki z pieczarkami, placek ziemniaczany z boczkiem, żeberka w miodzie i winie, czy też nalewka z róży i nalewka miłości oraz wiele innych specjałów. Potrawy przeznaczone są głównie na poczęstunek dla gości, ale też zespół zarabia kilka groszy na ich sprzedaży podczas dożynek lub na biesiadach zespołów. Bo chociaż gmina dofinansowuje w części wyroby kulinarne, kobiety dokładają własne produkty, aby wyroby nie były byle jakie. Tu chodzi przecież o ich honor.

W działalności zespołu mieści się głównie śpiew. Śpiewane są piosenki ludowe i biesiadne. Panią Krystynę martwi brak mężczyzn, bo przecież głosy męskie są niezbędnym elementem śpiewu chóralnego.

- Chodziłam, namawiałam, używałam całego swojego talentu przekonywania, ale nie zdołałam namówić mężczyzn do śpiewania u nas - opowiada zrezygnowana. - Jedynie kiedyś przyszli dwaj chłopcy. Wtedy specjalnie dla nich uszyte zostały stroje męskie, ale odeszli po dwóch latach. Mężczyznami kieruje jakiś dziwny wstyd, którego nie potrafię zrozumieć. Dlatego musimy śpiewać bez nich.

- Niektórzy mężowie niechętnie patrzą na nasze zaangażowanie - wyznaje Stanisława Muzeja. - Nawet dzieci nie lubią, gdy wychodzimy z domu na kilka godzin raz w tygodniu. Ale ja się nie daję. Nie będzie mi dziecko dyktować, jak mam spędzać mój wolny czas - mówi wojowniczo. - Wiem, że muszę swój czas dzielić pomiędzy rodzinę i zespół. O, teraz siedzę jak na szpilkach, bo cielę ma nam się urodzić, a męża nie ma w domu. Czekam na telefon, ale dostałam wiadomość, że jeszcze się nie zaczęło. Mogę jeszcze zostać tutaj.

- Praca w zespole to poświęcenie z naszej strony, musimy pracować dwa razy szybciej, żeby praca w gospodarstwie i w domu nie zalegała, żeby rodzina nie odczuła naszej nieobecności.

- A tu jest zawsze coś do zrobienia, czasem trzeba przyjść poza próbą - mówią jedna przez drugą kobiety zgromadzone po próbie przy cieście i herbacie. Czasem trzeba przygotować salę na przyjęcie gości. Na przykład w sierpniu tego roku było tu 50 osób pielgrzymujących do Częstochowy. Ambicją zespołu było dobrze ich przyjąć. Przygotowano obiad, jakieś wypieki na deser, potem były rozmowy.

- Tu jest nasz drugi dom.

- A ja skrzydeł dostaję, jak idę na próbę!

- Moje życie jest tu, na sali - otworzyły się kobiety mówiąc jednocześnie i przekrzykując się o radości pracy w zespole.

- Przecież zespół to jak rodzina - podsumowuje akompaniator pan Józef Skibiński, który również czuje się członkiem zespołu.

Teksty do piosenek kobiety biorą ze śpiewników, których sporo się teraz wydaje. Poza tym czerpią z pamięci swoich babek i prababek. Kiedyś tekst do piosenki napisała młoda dziewczyna z zespołu, Angelika Naporowska. Za tę smutną i piękną pieśń o matce na Wojewódzkim Przeglądzie Piosenek Kołysankowych i Pieśni Sierocych w 1998 r. w Kliszowie Angelika w nagrodę dostała magnetofon. Dziewczyna pięknie śpiewała, ale teraz ma przerwę na wychowanie dziecka. Potem na pewno wróci do zespołu.

Macierzanki śpiewają na imprezach folklorystycznych w swojej gminie ale też poza jej granicami, śpiewają w kościele kolędy w Boże Narodzenie, a jak we wsi jest wesele córki czy syna członkini zespołu, to zawsze wtedy przygotowane są przyśpiewki, buduje się bramę i zespół w strojach organizacyjnych dodaje blasku całemu weselu swoim występem. Filmy na kasetach z tych uroczystości wędrują daleko poza Twardocice, a nawet poza Polskę i nieodmiennie zachwycają oglądających.

- Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy wizytówką Twardocic - z dumą obwieszcza Zofia Bałtrukiewicz.

Śpiewanie dla kobiet z zespołu to i radość, i trudna sztuka. Pani Stanisława Muzeja w swojej szkole śpiewała w chórze, który miał wysoki poziom, zbierał nagrody w konkursach. Dlatego po skończeniu szkoły z chęcią kontynuowała pracę w zespole. Pani Marianna Kasprzyk musiała kilka lat temu odejść, bo zachorowała i przeszła ciężką operację. Gdy wydobrzała, powróciła, aby śpiewać. Pani Stanisława Księżyk też miała przerwę w działalności, bo pracowała, prowadziła gospodarstwo rolne. Do tego doszło wychowywanie dzieci. Ale teraz, gdy już jest na emeryturze, może dużo czasu poświęcić zespołowi.

Nalewka miłości Marianny Kasprzyk

200 sztuk wiśni (z pestkami) i 200 sztuk liści z drzewka wiśniowego zagotować w 2 litrach wody. Gotować około 20 minut. Odcedzić, dodać sok z dwóch cytryn, półtora kilograma cukru i wymieszać. Do wystudzonego wywaru wlać 0,5 litra spirytusu (można też wódki). Nalewka gotowa do spożycia na drugi dzień.

- Najgorsza jest nauka tekstów - zwierza się Stanisława Muzeja - Ale ja mam metodę. Biorę kartkę z tekstem do kieszeni, idę do stajni, przyczepiam do drzwi, po czym idę do zwierząt. Powtarzam sobie tekst, śpiewam. Po chwili zapominam, wracam do drzwi, czytam, staram się zapamiętać.

Chóralny szmer głosów pozostałych kobiet potwierdza, że z nimi jest podobnie.

Zespół brał udział w wielu konkursach i imprezach folklorystycznych. Najważniejsze z nich to Euroregionalny Przegląd Kapel i Zespołów Ludowych w Jaworze 1997, Wojewódzki Przegląd Piosenek Kołysankowych i Pieśni Sierocych w Kliszowie 1998, Wakacyjna Lista Przebojów Ludowych Polskiego Radia Wrocław 2006, Ogólnopolska Biesiada Zespołów Kresowych w Grodźcu 2007.

Jako akompaniatorzy towarzyszyli zespołowi Jarosław Pisarski (1987 – 2001) i Mieczysław Wrazidło (2002 – 2006). Obecnie przygrywa zespołowi na akordeonie pan Józef Skibiński. Sam się nauczył grania i teraz mu się przydaje. Na próby przyjeżdża aż z Wojcieszowa, ale mu to wcale nie przeszkadza. Lubi to zajęcie. Żona pana Józefa żartuje, że obawia się tylko, aby tyle kobiet nie zrobiło krzywdy jej mężowi. Zresztą to za jej przyczyną mąż gra w zespole. Pewnego razu spotkała Krystynę Kostrzewę w gminie i dowiedziała się, że nie ma kto grać, bo dotychczasowy grajek nieoczekiwanie wyjechał do pracy za granicę.

- Nie martw się Krysia! Mój mąż wam pomoże. On gra na akordeonie i na pewno się zgodzi.

Roladki z pieczarkami Stanisławy Księżyk

Płat z kurczaka poporcjować na trzy części, rozbić na kotlety. Oprószyć solą, pieprzem i wegetą; 30 dkg pieczarek pokroić w kostkę i usmażyć na tłuszczu wraz z cebulą również pokrajaną w kostkę. Ten farsz pieczarkowy nakładać na przygotowane płaty kurczaka, na to położyć plaster żółtego sera, zwinąć w ciasny rulonik. Najpierw będą się rozpadać, ale trzeba mocno uformować rękami. Następnie obtoczyć w jajku i bułce. Smażyć na rozgrzanym tłuszczu na złoty kolor.

W ten sposób *Macierzanki* zyskały akompaniatora, który gra od dwóch lat.

Akordeon, na którym pan Józef gra, stanowi własność zespołu i jest już drugim z kolei. Gdy pierwszy się popsuł, pani Krystyna napisała pismo do rady sołeckiej, która przyznała dotację 800 zł. Wystarczyło na zakup nowego instrumentu.

Teraz przed zespołem jako członkiem stowarzyszenia zespołów folklorystycznych gminy Pielgrzymka i mającym osobowość prawną otwierają się inne, szerokie możliwości dalszego rozwoju.

Oprócz śpiewania, gotowania i wypieków szczególnie pięknie wychodzą kobietom wieńce dożynkowe z kłosów zbóż. Taki wieniec robi się od dwóch do czterech dni, a jak jest bardzo skomplikowany, to nawet tydzień. Zawsze jest to praca zbiorowa. Do wieńca potrzebne są kłosy zbóż, suszone kwiaty i zioła. Materiał musi być bardzo dobrej jakości, bo ma przetrwać nie jeden sezon, ale kilka lat. Swoje wieńce *Macierzanki* chętnie wypożyczają do innych wsi na święta plonów.

W maju w siedzibie zespołu był pokaz kosmetyczny. Mieszkanki Twardocic mogły obejrzeć na żywo sztukę wykonywania makijażu, nowinki kosmetyczne czy też otrzymać poradę dotyczącą kosmetyków.

W przeszłości były wykonywane makramy ze sznurka, robótki na drutach, ale teraz już nie ma na to czasu. Były też organizowane pokazy malowania jaj wielkanocnych. Pani Krystyna planuje zorganizowanie warsztatów sztuki pisanek wielkanocnych. Trudność tylko tkwi w pozyskaniu instruktora. Ale są już uruchomione kontakty. Pomoc obiecała pracownica Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Chojnowie pani Grażyna Konarska. Na pewno ktoś się znajdzie.

Ze spotkania z *Macierzankami* wychodzę w dziwnie dobrym humorze, naładowana dobrą energią. Teraz jest dla mnie jasne, dlaczego kobiety w ten sposób mówiły o swojej pracy w zespole.

Agnieszka Młyńczak

Japończycy czyli o edukacji teatralnej naszej młodzieży

Projekt ten powstał dzięki współpracy szkolnych teatrów Mimo wszystko (LO im. JP II w Złotoryi) oraz teatru Ja Be De (ZSZZ w Złotoryi) z organizatorami międzynarodowego projektu „ DREAM REGIME- TEATR DLA WSPÓLNOTY". Jest to projekt realizowany przez studencki klub Żak Gdańsk, MONAR, Jeleniogórski Ośrodek Kultury, Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji, IKA

Winda Gdańsk oraz Akademicki Ośrodek Inicjatyw Artystycznych w Łodzi. Do realizacji tegorocznych działań teatralnych zaproszono **japoński teatr Gekidan Kaitaisha,** dzięki któremu podczas spektaklu wiedza uczniów i ich edukacja teatralna mogła wzbogacić się o nową formę teatru- butho, wywiedzioną z tradycji japońskiego kabuki. Dzięki kontaktom pana B.Biernackiego z reżyserami wielu teatrów szkolnych i studenckich w kraju scena ZOKiRu mogła gościć tak egzotyczny teatr. Były to już **II Dymarkowe Spotkania Teatralne (dzięki, ZTTG!**)

Międzynarodowy projekt warsztatów teatralnych, działań twórczych i edukacyjnych, ma na celu promowanie modelu „Teatru dla Wspólnoty", przeciwdziałanie wykluczeniu ze społeczeństwa młodych narkomanów, ich resocjalizację oraz integrację społeczną przez działanie twórcze i aktywne uczestnictwo w kulturze.

Jego cele szczegółowe to **profilaktyka uzależnień, przeciwdziałanie przemocy** w rodzinie i środowisku rówieśniczym, budowanie **wrażliwości na krzywdę** poniżanych, wskazanie na **przyczyny i skutki uzależnień, uświadomienie młodzieży możliwości leczenia uzależnień i terapeutycznej roli sztuki,** integrację nowych uczniów naszej szkoły ze społecznością uczniowską, kształtowanie nawyku żywego uczestnictwa w życiu kulturalnym regionu, miasta, szkoły.

Projekt obejmował dwa dni edukacji teatralnej: 15. września- spektakl w wykonaniu aktorów teatru Gekidan Kaitaisha z wyleczonymi podopiecznymi MONARU oraz 16. września- spektakle szkolnych teatrów LO i ZSZZ w Złotoryi.

15. września: Na widowni ZOKiRu zasiedli uczniowie klas trzecich obu średnich szkół Złotoryi. Obejrzany spektakl w przejmujący sposób ukazał krzywdę i poniżenie narkomanów, sceny przemocy w rodzinie, brak ciepła w kontaktach międzyludzkich, tęsknotę do tradycji i rodzinnych więzi międzypokoleniowych. W kulminacyjnej scenie spektakl ukazał uzależnienie od narkomanii i środków uzależniających jako wydarzenie tak wielkiej rangi, jak dwie wojny światowe- tragiczne doświadczenia XX wieku. W epilogu przedstawienia młodzi aktorzy- amatorzy mówili o swoich doświadczeniach sprzed terapii w Monarze. W bardzo sugestywny sposób wyrazili bezradność w próbach odbicia się od dna i niezbędność uzyskania pomocy swych rodzin. Po spektaklu odbyła się rozmowa naszych uczniów z Shimizu Shinjin, reżyserem i dyrektorem artystycznym projektu oraz aktorami zawodowymi: Japończykami z Gekidan Kaitaisha, Polakami z teatrów Gdańska i Gdyni oraz z amatorami- byłymi narkomanami, podopiecznymi Monaru. Choć Japończycy kazali na siebie długo czekać i cierpliwość młodych widzów dochodziła granic wytrzymałości- warto było. Spektakl był trudny, bo piękny i straszny jednocześnie. Cierpliwi nie żałowali, że poczekali na artystów z Japonii aż półtorej godziny. (W końcu Japończycy przyjeżdżają do Złotoryi z teatrem raz na osiemset lat!:)

Dnia 16. września odbyły się także na scenie ZOKiRu dwa spektakle, prezentujące szkolne teatry naszego miasta: **„Pupa? Gęba? Łydka!"-** interpretacja szkolnych relacji między rówieśnikami, uczniem i nauczycielem, rodzinnych relacji między dziećmi i rodzicami, skutkami **braku więzi i tolerancji, rozlewającymi się na losy kraju, Europy, Świata, powstała w reżyserii Jolanty Zarębskiej w oparciu o „Ferdydurke" W. Gombrowicza.** Przedstawienie teatru **Ja Be De w reżyserii Bronisława Biernackiego** zatytułowane **„Ble, ble ,ble czyli Romeo i Julia",** powstałe w oparciu o kilka dramatów **W.Szekspira**, stanowiło połączenie etiud, spojonych **tematem obserwacji więzi międzyludzkich, szacunku i miłości bliższych i dalszych dla siebie członków jednej społeczności.**

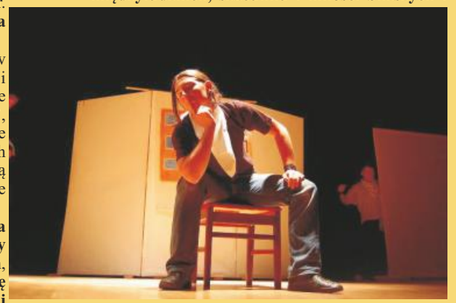

Oba spektakle spotkały się z doskonałym odbiorem i owacjami uczniów pierwszych klas obu szkół średnich naszego miasta.

Oba teatry zasłużyły na gorące brawa i gratulacje.

Jolanta Zarębska

Telegram

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej serdecznie zaprasza na odczyt Romana Gorzkowskiego p.t. "Wojna trzydziestoletnia(1618-1648)w Złotoryi i okolicach - makabryczne wydarzenia, osoby i ślady", który odbędzie się 29 października b.r. o godz. 19.00 w kościele Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Złotoryi. Wstęp wolny.

Czarny Krzysztof z Olszanicy, cz. 1

Ziemia Złotoryjska kryje wiele tajemnic i dawnych historii. Najciekawsza i najbarwniejsza dotyczy pewnego rycerza-rabusia, z powodu swych długich, czarnych włosów zwanego Czarnym Krzysztofem. Krążyło wiele niedomówień na temat jego pochodzenia. Jedni twierdzili, że pochodził z rodziny Zedlitzów szeroko naszej rozrodzonych po okolicy, inni zaś utrzymywali, że ów Krzysztof pisał się von Reisewitz

Czarny Krzysztof. Rys. M. Stefanko

Zostawiając na boku spory genealogiczne nadmieńmy, że jego ulubionym siedliskiem był dwór szlachecki w dolnej części Olszanicy, zwanej pod koniec średniowiecza *Tschetschkenau*. Tam wraz z kompanami spędzał najwięcej czasu, odpoczywając po zbójeckich wypadach, które wiodły go po całym Dolnym Śląsku od granic Wielkopolski po Czechy, od Łużyc po Górny Śląsk.

Najwięcej złego doświadczyli z jego ręki mieszczanie Złotoryi i Lwówka Śląskiego, choć dawał się we znaki także Wrocławianom.

Ulubionym miejscem „pracy" Krzysztofa był Choiniec (*Hanewald*). Tam pośród dających dobre schronienie świerków i sosen Krzysztof oraz jego kompani, zabierali pieniądze i precjoza tym, którzy mieli to nieszczęście wpaść w zbójeckie sidła. Do historii przeszedł zuchwały napad Krzysztofa na powracających z wrocławskiego targu lwóweckich kupców. Podczas tej łupieżczej eskapady zabito trzech podróżnych, m.in. burmistrza Lwówka Tschörtnera. Rabusie zabrali kupcom 1400 guldenów.

Akta miasta Złotoryi roiły się zapewne od skarg na niepokornego rycerza z Olszanicy, dość wspomnieć jedną uwagę z roku 1504, mówiącą, iż drogi wiodące przez Choiniec stały się niebezpieczne, a to za sprawą Krzysztofa i jego rabusiów.

Wraz ze swym kompanem Antonem, Krzysztof bywał w Rokitkach, gdzie kiedyś wracając z łupieżczej wyprawy na Głogów, zatrzymał się u Fryderyka Schellendorfa, który podarował Krzysztofowi dwa konie, za co z kolei ten odwdzięczył się rusznicami, które skradł Głogowianom. Jeszcze jeden, nieco inny powód sprawiał, że Krzysztof powracał w rejon Rokitek. W Czernikowicach mieszkała pewna wdowa nazwiskiem Barkischin, u niej zabawił kiedyś Krzysztof wracając z Zagrodna, z łupieżczej wyprawy.

Zrabowane dobra przypadały między innymi chłopu Jorgowi Furmannowi z Grodźca, a niejaki Jorg Schilt z Olszanicy je odkupował. Ten ciekawy proceder paserstwa miał być może swoje

Krzysztof, Anton i wdowa z Czernikowic. Rys. M. Stefanko

ukoronowanie w pewnym ciekawym znalezisku. Pod koniec lat 60-tych ubiegłego wieku na stokach Grodźca odkryto skarb srebrnych monet ukryty zapewne około roku 1506, tj. w czasach, gdy rozkwitała działalność Krzysztofa i jego bandy. Niewykluczone, że z bliżej nieokreślonych przyczyn, któryś z kompanów rycerza-rabusia ukrył

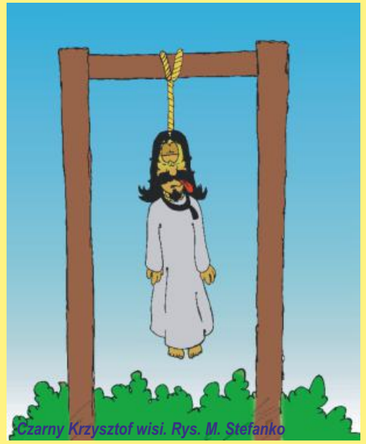

Czarny Krzysztof wisi. Rys. M. Stefanko

na Grodźcu monety, a może skarb został schowany przez jakiegoś strwożonego kupca, który tym sposobem chciał uniknąć losu swoich konfratrów?

Ciekawostką jest pewien fakt wspomniany w *Kronice Bolesławca*. Otóż spotkanych w trakcie zbójeckich napadów uczonych oszczędzał, ale tylko pod warunkiem, że potrafili zaostrzyć pióro – co pośrednio miało wskazywać na ich umiejętność pisania, ale co może świadczyć także o tym, że sam Krzysztof pisać nie potrafił.

Jednak sam Krzysztof choć okrutnik, jak każdy prawdziwy mężczyzna, miał słabość do kobiet, co wspomniano już powyżej i to kobieta, jak to często bywa, stała się powodem jego zguby. Według znanej legendy pewna niewiasta, której uczucie Krzysztof odrzucił, wprowadziła mieszczan złotoryjskich tajemnym przejściem od zamku rabusia. Niestety ten wraz ze swymi kompanami zamroczony po uczcie nie dał rady intruzom i razem z ojcem oraz bratem pochwycono tego, który tak długo wymykał się sprawiedliwości. Stało się to 26 września 1512 roku. Jeńców powiedziono do Legnicy, gdzie rok później – 5 października 1513 – na szubienicy powieszono Czarnego Krzysztofa. Za pokutę rodzina zmarłego ufundowała prezbiterium olszanickiego kościoła. Sam Krzysztof oprócz legendy przetrwał w popularnym przed II Wojną powiedzonku, jakie serwowano tym, którzy zamiast prawdy woleli konfabulację. Mawiano im: „Łżesz jak Czarny Krzysztof!".

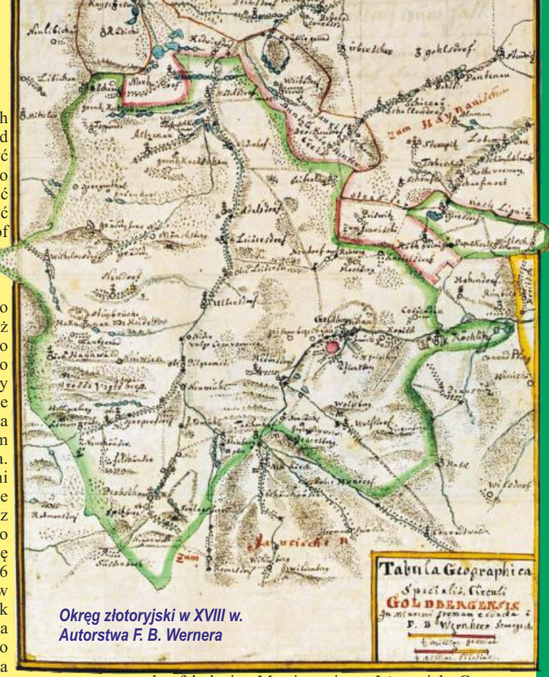

Okręg złotoryjski w XVIII w. Autorstwa F. B. Wernera

Mariusz Łesiuk

Warto przeczytać

Stowarzyszenie Kaczawskie zaprasza

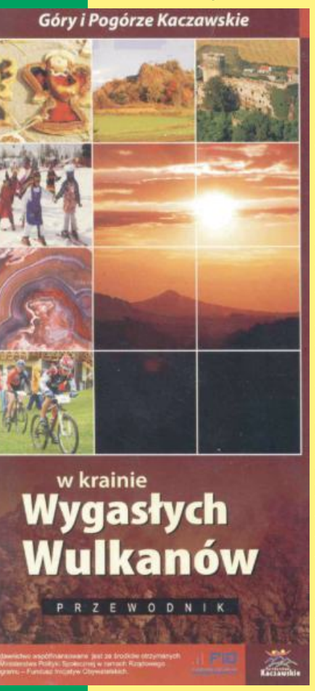

W 2007 r. z inicjatywy Stowarzyszenia Kaczawskiego, które ma swoją siedzibę w Mściwojowie, ukazał się przewodnik *W Krainie Wygasłych Wulkanów*. Już jego pierwsze rozdziały, o geologicznym raju krainy czy niezwykłym bogactwie przyrody, zachęcają wszystkich do wędrówek po rozległym obszarze od Pielgrzymki i Jeżowa Sudeckiego aż po Jawor, Bolków i Mściwojów. Omówiono rezerwaty, parki krajobrazowe, najważniejsze szlaki turystyczne, zabytki, gospodarstwa agroturystyczne, wymieniono najpopularniejsze imprezy oraz rzemieślników, artystów i pszczelarzy.

Mamy nadzieję, że w następnym wydaniu przewodnika autorzy sprostują informacje dotyczące kapliczki słupowej i kościoła św. Mikołaja w Złotoryi((kapliczka nie przedstawia św. Jadwigi a pod kościołem nie znajduje się kopalnia złota) oraz Pielgrzymki, co do której nie jest pewne, że tamtejszy kościół zbudowali templariusze. Trochę nam przykro, że Złotoryję określono jako „niegdyś bogate miasto" bo przecież nadal słynie z np z bogactwa działań społecznych i aktywnej działalności wielu organizacji.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Pod bokiem św. Jadwigi

Już nie musimy nikogo przekonywać, że stare kartki pocztowe są bezcennymi źródłami historycznymi, i niekiedy tylko dzięki nim dowiadujemy się, jak niegdyś wyglądało nasze miasto. Na obu prezentowanych teraz widokówkach, wydanych w latach dwudziestych ubiegłego stulecia, dostrzec można ten sam okazały dwupiętrowy budynek mieszkalny, wzniesiony zapewne w XIX wieku. Wobec tego, że rozebrany został około 1950 r., zapewne nie zdołalibyśmy go szybko zlokalizować. Musielibyśmy także wiedzieć, że dawna nazwa *Promenade* określała dzisiejszą ulicę Stanisława Staszica. Szczęśliwie na drugiej widokówce w najbliższym sąsiedztwie naszego gmach widzimy fragment kościoła św. Jadwigi i wszystko staje się jasne! W pobliżu zakrystii dostrzec nawet można, najlepiej z pomocą szkła powiększającego, kapliczkę słupową z XV wieku. Pamiętamy, że zabrano ją stamtąd dokładnie 10 lat temu podczas renowacji, aby w 1999 r. ustawić przed kościołem.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Ofiara niepodległości?

W historię naszej miejscowości wplecione są fundacje wielu pomników, obelisków czy pamiątkowych tablic(najprawdopodobniej niedługo w osobnym artykule przypomnimy dokładniej ich dzieje). Te przedwojenne usunięto po 1945 r., niektóre ze wzniesionych później zmieniały swój wygląd a nawet znikały z pejzażu miejskiego. Dzisiaj pytamy o losy jednego z powojennych pomników – chodzi głównie o rok fundacji i usunięcia, lokalizację, wydarzenie, które upamiętniał oraz o to, co się z nim stało. Chcielibyśmy również poznać autora fotografii – może okaże się nim jeden z naszych Czytelników?

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złączny hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

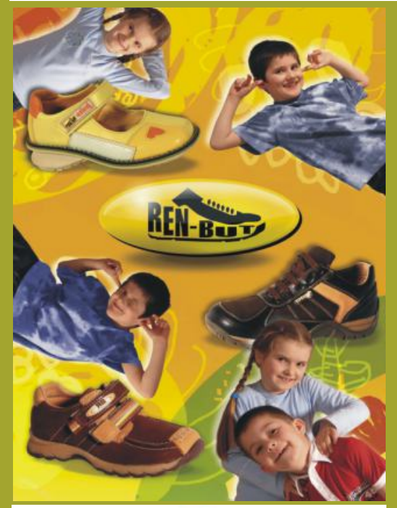

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A. ZŁOTORYJA
KSS S.A.

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023